



KOBIECE DOLE.

II.

BARONÓWNA.

(Dokończenie).

Może w tej chwili pojęła, że przedłużyła zbyt znacznie dzieciństwo córki, bo gdyby przyznała jej przed dwoma laty lat szesnaście, Ernestyna nie byłaby miała czasu na obserwację, myślenie i utratę złudzeń. Ale któż się mógł takich rzeczy spodziewać, wiele panien ma daleko więcej przedłużone dzieciństwo, a nie przychodzi do podobnych rezultatów. Widocznie więc, albo córka jej była istotą wyjątkową, albo osoby, którym powierzyła jej wychowanie, źle wywiązały się ze swoich zadań.

Miała więc żal ciężki do miss Simpson, do nauczycieli; dodamy, żal niesłuszny, Ernestyna bowiem czerpała wszystko z siebie. Była to natura bogata, refleksyjna, która wbrew otoczeniu i odbieranym naukom, wyrobiła sobie pojęcie zupełnie sprzeczne z tem, co jej wskazywano.

Taka córka była wielkim kłopotem i nieszczęściem dla baronowej, tembardziej, że miała ona tylko wyrobione zdanie negatywne, to jest wiedziała dokładnie, czego nie chciała. Zwykle życie światowe, do którego ją przeznaczono, nazywała krainą fałszu, etykiety i próżniactwa — i miała do niego wstręt nieprzezwyciężony; ale czegooby natomiast żądała, to stanowiło dla niej samej olbrzymi znak zapytania.

Serce jej rwało się do wielkich uczuć, myśl — do śmiałych przedsięwzięć, wszystko to jednak było chaotyczne, tak chaotyczne, że kiedy matka pytała, co dalej chce uczynić, odpowiadała bardzo poważnemi frazesami, które jednak nie doprowadzały do żadnego praktycznego rezultatu. A ponieważ minęły dobre dawne czasy, w których groza rodzicielska mogła zmusić dzieci do wyrzeczenia się własnej woli, matka i córka rozeszły się w nieporozumieniu.

Nieporozumienie to wzrastało mimo ich woli, bo podsycały je ciągle codzienne okoliczności. To Ernestyna nie chciała towarzyszyć matce na zabawę lub wizytę, na której według tej ostatniej być jej należało, to znowu odezwała się o czemś niestosownie.

Na Urbana chwile jakie —
Mówią, że i lato takie.

Pogoda na Urbana,
To wielka wygrana.

Na Wniebowzięcie deszcz mały —
Mało paszy przez rok cały.

Do św. Ducha, nie zdejmuj kozucha,
Po św. Duchu, chodź znowu w kozuchu.

Na zesłanie Ducha, gdy ziemię
[deszcz zleje,
Trwoży się gospodarz, który żyto
[sieje.

Po św. Trójcy — zima się kończy,
Koło Bożego-Ciała — czegożby chciała.

Pojęcia ich i gusta były wprost przeciwne, a co najgorsze, wychowanie wprowadzić nie zdołało stłumić wrodzonych uzdolnień Ernestyny, ale nie nadało im żadnego kierunku.

Unosiły ją więc co chwila prądy nowe, paliła żądza działania, sławy, wreszcie silnych wrażeń. Szukała na wszystkie strony pola właściwego i znaleźć go nie mogła.

Próbowała artyzmu. Pomiedzy talentami, któremi obdarzyć ją chciano, znajdował się rysunek, więc przez kilka lat przerysowywała cierpliwie oczy, usta, nosy, całe twarze; przerysowała nawet raz z pomocą nauczyciela jakiś medalion z gipsu. Teraz z nowym zapalem zabrała się do swoich kredek, wieszorków, reisbretów.

Matka wzruszyła ramionami, ale rada była temu nowemu dziwactwu córki, dziwactwo to bowiem zajmowało jej czas cały. Baronowa więc musiała ukazywać się bez Ernestyny na wizytach, koncertach, zabawach, a kiedy zapytywano ją o córkę, miała przynajmniej odpowiedź właściwą.

Przytem od chwili, jak hrabina założyła w Warszawie szkołę malarstwa, sankcya arystokratyczna używaną została dla tej sztuki.

Trwało to czas jakiś i byłoby trwało zapewne ciągle, gdyby Ernestyna posiadała talent. Lecz ona talentu nie miała; wzięła się do rysunku, nie z powołania, ale dla tego, że to była droga otwarta, którą iść mogła, że marzyła na niej o sławie, o pracy samodzielnej i t. p. Kiedy jednak pomimo usiłowań czyniła bardzo słabe postępy, zrozumiała, że byłaby zawsze tylko uczennicą i straciła odwagę.

Potem przerzuciła się do pióra, którem każdy władać umie, i z gorączkową energią pisała powieść. Tymczasem nie tylko nie miała autorskiego talentu, ale nie znała życia, a przytem nie potrafiła nawet wytknąć sobie drogi właściwej i rozplatać chaosu różnorodnych myśli, zdań, pojęć i przeczuć, jakie snuły się w jej głowie. Próbowała daremnie opisywać to, co czuła, sama siebie pasując na bohaterkę; powieść okazała się tak nędzną, iż nie skończywszy nawet, podarła ją i w ogień rzuciła.

Uczyniwszy to, utkwiała rozmarzone oczy w płomień, które pożerały jej pracę, jej nadzieję i zadała samej sobie też samo pytanie, które matka zadała jej niegdyś. Czego chce?

Od czasu owej rozmowy upłynęło lat parę, a ona znalazła się znowu na tem samem rozdrożu co wtedy, pełna porywów, nadziei niewyraźnych i żądz tłumionych. Pomiedzy nią a światem postawiona zaporą zwiększała się co chwila; Ernestyna — poznawała go tylko ukradkiem przez drzwi uchylone, a świat ten, względnie do ideałów, jakie nosiła w sercu, zdawał jej się tak ohydny, iż dziś tak samo jak przed laty, cofnęła się przed zawarciem z nim ściślejszego przymierza i poślubienia jednego z tych ludzi, których spotykała czasami w salonie matki lub w towarzystwach. Jej szlachetna natura oburzała się coraz bardziej na fałsz, podłość, lekkomyślność, które widziała w koło siebie, a które śledziła z bystrością myśli zwróconej tylko do jednego przedmiotu. Zaszedł też w niej objaw dziwny; ponieważ po za tym światem nie znała żadnego innego, wyobraziła sobie, iż on tylko jeden posiada monopol zepsucia. Sądziła, że na innym towarzyskim poziomie ludzie są zupełnie odmienni, a bujna wyobraźnia zaczęła marzyć o jakimś idealnym świecie, zaludnionym bohaterami według jej myśli i serca.

Z bohaterami tymi lubiła przebywać coraz dłużej, uciekała do nich od nienawistnych sobie ludzi, a wszystko co wśród nich zobaczyła zdołała, obracało się na korzyść tworów jej wyobraźni.

Trzeba też przyznać, że świat nie był dla niej wcale łaskawy. Jak każdy władca, nie lubi on tych, co wyłamują się z pod jego potęgi. Powszechnie też ubolewano nad baronową z powodu córki, a dla tej ostatniej miano tylko rodzaj litościwego pobłażania, jak dla chorego lub niepoczytalnego dziecka. Uczucie to doprowadzało ją do gniewu, budziło żądzę buntu i odwetu. Pragnęła nadewszystko rzucić ludziom w oczy jakiś niesłychany czyn, któryby wstrząsnął nimi i zmusił ich do rachowania się z nią.

Podobne chętki bywają niebezpieczne, zwłaszcza kiedy powstają w sercu kobiecym, przy latach dwudziestu kilku i wielkich ognistych oczach.

Wkrótce zaczęto szeptać z cicha, a wreszcie i odzywano się głośno, iż panna Ernestyna — rzecz straszna — pokochała się bardzo niestosownie w jakimś młodym malarzu, o którym nikt nie słyszał, i co gorsza — zamierzała oddać mu swą rękę.

Malarz wprowadzić nie miał wielkiego talentu, ale za to miał śliczne, złociste włosy, a rysami i postawą przypominał belwederskiego Apolla; więc nic dziwnego, iż bujna wyobraźnia Ernestyny znalazłszy taki materiał na bohatera, obdarzyła go na kredyt wszystkimi przymiotami, jakie tylko widzieć w nim pragnęła, a że przytem artysta był zupełnie ubogi, zupełnie nieznany i miał plebejuszowskie nazwisko, podobno nawet był synem szewca, posiadał więc warunki wszystkie, ażeby zadowolnić ową żądzę uczynienia czegoś niesłychanego, płonąca w sercu baronówny.

Była to dla niej piękna chwila, gdy wypowiedziała matce w kilku słowach postanowienie poślubienia pana Adama Brześcika.

Matka, która słuchała ze zdumieniem, zatrzymała ją tutaj:

— Jak... jak... jak się nazywa? — spytała niedowierzając uszom własnym.

— Adam Brześcik — powtórzyła Ernestyna z przyciskiem, jak gdyby wymawiała najbardziej znane w kraju nazwisko.

— Brześcik, Brześcik — mówiła końcem ust baronowa — i ty chcesz się nazywać madame Brześcik... ależ to niepodobna.

Ernestyna odparła, iż chce nosić nazwisko człowieka, którego czci i kocha; dalej zaś mówiła znów to wszystko, co ciągle miała na sercu.

A gdy matka powtarzając nazwisko malarza, nie mogła pohamować śmiechu, Ernestyna dodała, iż postanowienia jej nic zmienić nie zdoła.

Postąpiła otwarcie — choć wiedziała, że pozwolenia na podobne małżeństwo nie uzyska nigdy — bo uważała to za swój obowiązek. Pełnoletnią była i miała własny majątek zapisany jej przez ciotkę.

Baronowa ma się rozumieć dostała spazmów, aż musiano posłać po pana Henryka, który był domowym przyjacielem i do którego w nieobecności barona, baronowa odnosiła się we wszystkich trudnościach życiowych

i towarzyskich, a pan Henryk uznał położenie za tak groźne, iż umyślono telegrafować do Paryża, gdzie baron przebywał obecnie, przykuty do rydwanu jakiejs lekkonogiej i lekkiego serca sylfidy.

Położenie było groźne w istocie, skoro baron, dbały o honor swego domu i nazwiska, przybył natychmiast. Przybył jednak zły piekielnie, z powodu, iż musiał opuścić sylfidę i zaraz na wstępie zrobił straszną scenę Ernestynie. Powiedział jej, że jest wyrodną córką, wyrzutkiem społeczeństwa, pośmiewiskiem ludzi, że na jej małżeństwo nigdy nie pozwoli, że ją wyklnie, wydziedziczy, zamknie na dziesięć zamków. A gdy Ernestyna nie odpowiedziała mu ani słowa, zwrócił się do żony. Córka przecież zależy od matki — gdyby więc ta była czuwała, nie byłoby się stało podobne nieszczęście. Gdyby wreszcie Ernestyna upodobała sobie przynajmniej jakiego szlachcica, bodaj z jedną wioską, bodaj nawet bez wioski, to przecież możnaby choć z przykrością na małżeństwo zezwolić, ale syn szewca, artysta, to jest człowiek bez położenia społecznego... A jeszcze, gdyby chociaż nazywał się inaczej, gdyby nie nosił swego plebejuszowskiego pochodzenia wyrytego w nazwisku, ale Brześcik... za Brześcika przecież baron córki wydać nie mógł.

Nie wydał jej też, ale ona wydała się sama. Któregoś pięknego poranku Ernestyny w domu nie znaleziono, wykradła się, ślub wzięła i napisała do rodziców list proszący o przebaczenie, a podpisany: *Ernestyna Brześcikowa*, który naturalnie został bez odpowiedzi.

Baron ze wstydu i gniewu pojechał do Paryża, baronową pocieszał pan Henryk.

Ernestyna zrazu była uszczęśliwiona, osiągnęła cel marzeń, kochała i wierzyła, że jest kochaną, przytem rzuciła rękawicę nienawistnemu światu, a kiedy idąc pod rękę z mężem, spotykała dawnych znajomych, którzy mijali ją bez ukłonu, lub kłaniali się z lekka, jakby dopełniając obowiązku grzeczności dla samych siebie, podnosiła dumnie głowę, jak tryumfator, lub też darzyła najpiękniejszymi uśmiechami kolegów i przyjaciół Brześcika.

Tryumfy te jednak wyczerpały się prędko. Po kilku tygodniach świat zapomniał tak doskonale o Ernestynie, jak gdyby nigdy nie istniała i to zadało wielki cios jej próżności. Wtedy także przypatrywać się zaczęła człowiekowi, z którym los swój związała, bo dotąd był on dla niej tylko zwiastunem innego życia, ideałem, a w końcu przedmiotem miłości, pożądaną gorąco.

Ernestyna miała wzrok bystry i niestety dojrzała wkrótce, iż Adam Brześcik, choć nie należący do świata, różnił się bardzo mało, a raczej różnił się tylko w formie, od jego nienawistnych koryfeuszów.

Był on tak samo jak oni płytki, zarozumiały, leniwy, wolał bawić się i hulać, niż pracować, wiedział przytem dobrze, iż posiadał piękność, a co gorsza, nie poprzestał na sercu żony i prowadził dalej swoje miłosne podboje, nie troszcząc się o nią, bo należał do rodzaju samolubów, którzy w ogóle nie troszczą się o bliźniego, lub tyle tylko, o ile ten bliźni jest im potrzebny.

Ożeniwszy się więc i posiadłszy majątek żony, na jej niezadowolenie i łzy nawet nie zważał. Zresztą we własnem przekonaniu był równie dobrym mężem jak wielu innych — i Ernestyna nie miała powodu do skargi.

Nie skarżyła się też, była na to zbyt dumna. Eksperyment małżeński nie udał jej się równie, jak artystyczny i literacki, tylko nie było już dla niej drogi powrotu. Umarłaby raczej, niż przyznała się przed rodzicami lub światem, do popełnionej omyłki, a kiedy musiała przyznać przed samą sobą, że Adam Brześcik niczem nie różnił się ze strony moralnej od panów A. B. C. których odrzuciła z taką wzdargą, ukryła w dłoniach twarz zarumienioną wstydem i płakała krwawymi łzami zawodu. Wówczas zapytała samej siebie, czy wszystkie sny i marzenia, jakie snuły się w jej głowie i sercu były złudzeniem, czy tylko ona nie umiała je w życie wprowadzić?

Zawiedziona, nieszczęśliwa, znękana, stała się cieniem dawnej istoty, piękność jej znikła szybko i tylko w wychudłej twarzy świeci dwójce oczów niepokieszonych, a na białych ustach błąka się sceptyczny uśmiech zniechęcenia. Straciła odwagę dalej badać, próbować, szukać wcielenia swoich nadziei; podobna do automatu, spełnia machinalnie to wszystko, co do niej należy. Tylko czasem przypominają jej się słowa matki, która mówiła zawsze: »Na co myśleć? kobieta myśleć nie potrzebuje«. Chciałaby dziś nie myśleć, ale to nie jest w jej mocy. Myśl — to kalectwo, z którego wyleczenia niema. Wszakże i w niej nie wyrabiano myśli — przeciwnie; a jednak ona myślała. Może gdyby wyrabiano i kształcono, myślałaby lepiej, dokładniej.

Gdyby miała córkę, nie wiedziałaby sama, jak ją chować. Córki nie miała.

Brześcik także nie czuł się szczęśliwym, był to zwyczajny umysł, ładny chłopiec i mierny artysta, bez wybitnych wad i wybitnych zdolności. Nie mógł być odpowiedzialny za zawody żony, bo nie był nigdy uwiadomiony o jej marzeniach; przeciętny mąż zapewniłby spokój i szczęście przeciętnej kobiety, ale Ernestyna nie była taką kobietą.

Małżeństwo więc żyło z sobą w cichem nieporozumieniu wśród niesformułowanych zarzutów i zobopólnego żalu. Mąż kochał się i bawił uciekając z domu, tak samo jak to czynił baron. Ernestyna nie kochała się i nie bawiła. Zapytywała samej siebie o zagadkę własnego losu i odpowiedzi znaleźć nie mogła.

WALERYA MARRENÉ.



X.X.MISYONARZE
NOWA WIEŚ NARODOWA.

UROCZE OCZY.

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH *)

(Ciąg dalszy).

SCENA 10.

PETRONELLA, SZAMBELAN, REJENT, HRABIA.

HRABIA.

Duszno! Powietrze przepełnione elektrycznością.

SZAMBELAN.

Gorąco, gorąco!... Przytem zdaje mi się, że jestem wściekły, a człowiek tej co ja kompleksy, powinien być zawsze w dobrym, równym humorze. Nic bardziej nie szkodzi nad gniew z rana.

REJENT.

Panowie widzą sami, że nie ja, lecz księżę psuje ich interesa, porozumiewając się wprost z kasztelanową. (Idzie do okna i patrzy w niebo).

HRABIA.

Może się jeszcze nie porozumieli?

SZAMBELAN (chodzi szybko po pokoju).

Zdradza nas — formalnie nas zdradza.

HRABIA.

Nie unośmy się zbyt mocno...

SZAMBELAN (niecierpliwie).

Nie unoszę się, nie chcę się unosić... Zresztą mam na panicza wędzidło: lepszą partię.

HRABIA.

E! co po tem. jeśli układ z kasztelanową nie dojdzie do skutku!

SZAMBELAN (mrugając na hrabiego i pokazując mu na migi, że rejent słucha).

Co do mnie, wolę go ożenić gdzieindziej.

HRABIA (który migów szambelana nie zrozumiał).

Ależ kasztelanowa...

SZAMBELAN (przerywając).

Księcia mieć nie będzie.

HRABIA (prawie z rozpaczą).

A my osiadziemy na lodzie!

SZAMBELAN.

Czy ja winien, że babcia rozstrojona — tak, rozstrojona — nie ocenia należycie naszych starań i zabiegów. Udawała cały wieczór, że orderów moich nie widzi. Nie zwróciła uwagi na opowiadanie o balu w Tuilerach... (Zatrzymuje się w środku pokoju).

PETRONELLA (która czychała na tę chwilę, zbliża się z ukłonem pełnym gracy i podaje list szambelanowi).

List z poczty do pana szambelana.

SZAMBELAN (odbiera).

Dziękuję. — Aaa!... wczorajsza zastępczyni królowej Izabelli, wspaniałej monarchini hiszpańskiej... Pani tańczy wybornie — (przykłada palce do ust i cmoka) wyśmienicie!

PETRONELLA (skromnie spuszczać oczy w ziemię).

Jak prawdę kocham, nie chwałę się, lekkości nie straciłam dotąd.

SZAMBELAN.

W istocie, w istocie; przy obrotach poddajesz się łatwo. Kręcić można panną, jak piórkiem, pomimo wcale poważnej cyrkumferencji. Ale to nic nie szkodzi, bo i królowa także... (Uśmiecha się i robi gest. — Petronella dyga). Jakże się spało po walczyku?

PETRONELLA (z ciężkiem westchnieniem).

Nie dobrze!

SZAMBELAN.

Rozumiem. Panna Petronella wolałaby pewno poloneza, albo może mazura. Co? (Nuci). Romtatata, romtatata, romtatata! (Uderza hołupca i przytupuje na miejscu). Ja i to umiem... po warszawsku, ogniście!

HRABIA (zniecierpliwiony).

Czas ubiega napróżno!

SZAMBELAN.

Przepraszam, przepraszam. Pozwól, tylko list przeczytam. (Do Petronelli z uśmiechem zadowolenia i bardzo uprzejmie). Przepraszam, królowo, ale przedewszystkiem interesa. (Czyta list).

PETRONELLA.

Sługa pana szambelana... i pana hrabiego... i pana rejenta. (Kłania się wszystkim z kolei, zabiera gazety z fortepianu i mówi na stronie). Jak prawdę kocham, miły człowiek! (Wychodzi).

REJENT (n. str. zadumany).

Przeszkoda moralna!... Ale jaka, jaka?! (Przesuwa ręką po czole).

SZAMBELAN (po przeczytaniu listu).

Panie rejencie, Auguste, proszę... proszę bliżej. Chcę coś ciekawego zakomunikować. (Rejent i hrabia zbliżają się). Mówiłem, że mam dla księcia partię lepszą od Tereni — a oto dowód. (Potrząsa listem). Na złość babci rozstrojonej — tak, rozstrojonej — zdmuchnę jej konkurenta. Raz, dwa, trzy... paf! i nie ma księcia.

HRABIA (niezadowolony).

Tu trzeba działać roztropnie, oględnie, ty zaś...

SZAMBELAN (przerywa).

Ty zaś, nie masz krwi w żyłach.

HRABIA (smutnie, prawie jakby do siebie).

Mam rumieniec na czole, który zetrzeć pragnę.

SZAMBELAN.

Słuchajcie panowie! W sąsiedztwie mojem na Podolu, mieszka niejaka Rosprzycka. Cudak baba, jakich mało, ale ma olbrzymi majątek w ziemi i kapi-
tałach, zebrany przez nieboszczyka męża lichwą i pokątnem doradztwem, a przez nią samą powiększany

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

ciągle. Otóż ta zacna dama posiada córkę jedynaczkę i pragnie dla niej mitry książęcej. Dawno już molestowała mnie, abym przywiózł z sobą Zdzisława. Dziś pisze kategorycznie, że da zaraz dwa miliony; po jej zaś najdłuższem życiu zięć zagarnie drugie tyle. (Pokazuje list). List szedł przez Warszawę, zkaż mi go przysyła rządca mego domu. — Pyszny typ, panie rejencie, pyszny typ!

REJENT.

Rządca pana szambelana?

SZAMBELAN.

Nie... Rosprzycka!

HRABIA (niecierpliwie).

Wróćmy do rzeczy.

SZAMBELAN.

Nie wychodziliśmy z niej wcale. — W majątku swoim spełnia po dziś dzień obowiązki: rządcy, ekonoma, leśniczego, pisarza prowentowego, etc. etc.

HRABIA (j. w.).

Co nas to w tej chwili obchodzić może?

SZAMBELAN.

Proszę uważać. — Kiedyś, pewnego wieczora, koszone trawę na lewadzie w dębowym gaju, gra-

F MAZOTTA.



ZŁOŚLIWY BEPPO.

REJENT.

Czy dla tego, że daje za córką dwa miliony?

SZAMBELAN.

Ależ nie; to się jej tylko chwali. (Śmieje się). Gdybyś ją zobaczył, nie dziwiłbyś się mojemu określeniu. Istna klucznica udająca hrabinę. Brzydka, jak wszystkie trzy czarownice Makbeta. Głupia... no! dość powiedzieć, że mówi po francusku jak murzyn. Lubi popisywać się magnackiem urządzeniem pałacu, przepychem w powozach, zaprzęgach, liberyach, a pomimo to w ciszy nocnej, w swojej adamaszkiem jedwabnym obitej sypialni, chowa oszczędzone miedziaki do tradycyjnej pończochy, chociaż ma kasę ogniotrwałą, a w niej stosy listów zastawnych.

niczącym z jej wspaniałym parkiem. Lewadą na Podolu nazywa się łąka w pośród lasu.

REJENT.

Dziękuję za objaśnienie.

SZAMBELAN.

Ażeby się przekonać, czy stóg z sianem ustawiono i ubito jak należy, wlaźła Rosprzycka po drabinie na sam szczyt... (Bliższy odgłos grzmotu).

HRABIA.

Opowiadasz zaściankowe plotki, a czas uchodzi.

SZAMBELAN (macha ręką i opowiada dalej).

Wtem w czterokonnym odkrytym kocu nad-

jeżdża hrabia Galwitz, sąsiad, wdowiec, ex-jenerał, starający się o rękę córki. Było już szarawo, słońce skryło się za drzewa, ale kandydat na zięcia poznałby przyszłą swiekrę i na piramidzie egipskiej. Uderzony niezwykłym widokiem, pyta z powozu: »Czy jasna pani i jasna panienka są w pałacu?« — »Nie« — odpowiada rezolutna baba — »wyjechały do Kamieńca«. Galwitz wziął to za rekuzę, kazał konie zawrócić... i nie pokazał się więcej. Po tem niepowodzeniu z kurlandzkim grafem, Rosprzycka zwróciła się w naszą stronę i dobija się formalnie o Zdzisława. Dotąd wymawiałem się od pośrednictwa, ale rozważwszy rzecz gruntownie widzę, że dobrze będzie jeśli majątek duży dostanie się w polskie ręce.

REJENT.

W imię owego cichego patryotyzmu, którego pan szambelan jest wyznawcą skrytym.

SZAMBELAN.

Ma się rozumieć!... Przytem mieć będę miłego i dystygowanego sąsiada. Tak, tak — nie oddam umitrowanego panicza za marne pieniądze, z prawa mi należne, a o które muszę się jeszcze targować.

REJENT.

Z tego punktu widzenia wychodząc, książę byłby tylko towarem.

SZAMBELAN.

A czyja wina, że go tak traktować wypada?

REJENT.

No, chyba nie moja...

SZAMBELAN.

To też nie do pana rejenta zwracam ostrze mego satyrycznego grotu.

HRABIA (bardzo niespokojny).

Tu nie żartować, ale działać potrzeba! Rejent raczy pomówić z kasztelanową; my we dwóch postaramy się porozumieć ze Zdzisławem...

SZAMBELAN.

Ho, ho, ho!... i Zdzisławek miły chłopiec! Czuć go dotąd powstańcem o milę. A przytem salonowe sukcesy miłosne przewróciły mu w głowie; zapomina o siwiejących nad skroniami włosach... Ta go kochała, tamta jeszcze kocha, inna kochać będzie. Cóż on sobie myśli, że przymioty jednające mu serca kobiety nigdy się nie wyczerpią?

REJENT.

Róża, wachana przez wielu, nie traci zapachu; woda ze źródła gasi pragnienie tysięcy...

SZAMBELAN.

Ale stary kawaler co najwyżej zgasić może świecę, albo ogień na kominku.

REJENT.

Dziękuję za nominację na pokojowego naczelnika straży pożarnej.

SZAMBELAN (śmieje się).

Prawda, że i pan... No, rejencie, ty należysz do innego pokolenia. — Słowem, po dwudniowych pertraktacjach, w ciągu których wykazałem jak najbardziej pojednawcze usposobienie, jasno i ostatecznie

formuję moje ultimatum. Albo babcia zgodzi się wypłacić sumę przezemnie żadaną, albo zabieram z sobą Zdzisława na Podole i żenię z panną Rosprzycką.

REJENT.

Pan szambelan zapomina, że książę pełnoletni.

HRABIA.

A od czasu jak tu przybył daje ciągle dowody, że pragnie mieć własną wolę...

SZAMBELAN.

Bo czerwony!

REJENT.

Kolor ten — kasztelanowej nie odstraszy.

SZAMBELAN.

Powiedziałem już wszystko. (Odprowadza hrabiego na bok i mówi mu na ucho). A bodaj-że cię! Ja rejenta, jako pełnomocnika babci przypieram do muru, a ty wciąż mi przeszkadzasz. Nigdy do niczego nie dojdiesz, bo nie dyplomatyzujesz. W interesach radzić sobie nie umiesz, pomimo, że na politycznej drodze okazałeś dużo sprytu przy zmianie frontu...

HRABIA (smutnie i z pewnym odcieniem godności).

Nie kończ. Gdyby nie ta zmiana, nie widziałbyś mnie przy sobie. (Zbliża się do rejenta). Panie rejencie, mówiłem dotąd mało, bo nie mogę mówić szczerze... bo niestety nie mam do tego prawa. Pragnę uciec z kraju, ale naprzód muszę zabezpieczyć przyszłość mojej żony. Należy ona tu... do rodziny. Gdybym był sam, o nic bym nie prosił... (Grzmot. — Pierwsza błyskawica).

REJENT.

Rozumiem. Przedstawiając sprawę kasztelanowej, położę nacisk na wyznanie pana hrabiego.

SZAMBELAN (n. str.).

Oni w atmosferze tego starego dworu wszyscy powaryowali!

SCENA II.

CIŻ SAMI LUDWIK.

LUDWIK (wchodzi szybko i zbliża się do rejenta).

Wuju, całe niebo chmurami pokryte. Wicher się zerwał; już łamie gałęzie drzew. (Po cichu). Ja tam pójść nie chcę... nie mogę. Należałoby je wezwać — burza zapowiada się groźnie...

REJENT.

Dobrze — idę. (Spieszy ku drzwiom ogrodowym). Nie ma potrzeby; już wszyscy do domu wracają. Przodem biegnie pani szambelanowa, a za nią podąża hrabina. Panią kasztelanową prowadzą książę i Terenia.

SCENA 12.

CIŻ SAMI. MATYLDA, KAROLINA, KSIĄŻĘ, KASZTELANOWA, TERENIA, później MACIEJ i JÓZEF.

MATYLDA (wbiegając).

Co się dzieje! co się dzieje!... Grzmoty, wiatr, błyskawice... Och! jak ja się boję!... (Spostrzega okno otwarte). Okno otwarte!... Proszę zamknąć, proszę zaraz zamknąć! (Ludwik zamyka i cofa się w głąb pokoju). Dziękuję — bardzo dziękuję.

KAROLINA (wchodzi i mówi do rejenta z rozdrażnieniem nerwowem, nad którem zapanować pragnie).

Tak dawno nie widziałam burzy zbliżającej. Byłabym chętnie pozostała w ogrodzie, ale babcia, Madzia i Terenia nalegały, abym koniecznie udała się do domu. Chronię się więc pod rodzinną strzechę na powszechne żądanie. (Po cichu). Na groźniejszą tu zanoszą się burzę, bo wnoszę ze słów babuni i księcia, że zbliża się tragi-komiczny moment. Konkurent albo się już oświadczył, albo się wkrótce oświadczy. Jeśli Terenia stanowczo nie odmówi, ja wystąpię z moją przeszkodą moralną.

REJENT.

Czy pani hrabina wierzy w skuteczność środka, którego użyć pragnie?

KAROLINA.

Mniemam, że sama się zgubię, ale ją ocaleję. (Księżę i Terenia wchodzi, wiodąc pod rękę kasztelanową. — Kasztelanowa odprowadzona do swego fotelu siada, dziękując Tereni i księciu uściśnięciem ręki. — Błyskawica oświeca głąb sceny).

MATYLDA.

Drzwi! drzwi od ogrodu pootwierane!... Proszę je szczelnie pozamykać, bo umrę ze strachu! (Hrabia i Ludwik zamykają drzwi w głębi).

SZAMBELAN.

Dajże pokój, nie rób scen.

MATYLDA.

Łatwo tobie się nie bać, bo jesteś mężczyzną, ale ja, słaba kobieta!... Zresztą i ty pobladłeś.

SZAMBELAN.

Pobladłem?... zkaż-że?!... Złudzenie optyczne. Ściemniło się, więc wszyscy wydajemy się bledsi.

MATYLDA.

Czuje, że zanoszą się na coś strasznego. (Odgłos piorunu i błyskawica). A co, czy nie mówiłam. Boże, co ja z sobą pocznę! (Coraz częściej blask błyskawicy rozdziera zupełną ciemność ogrodu za oszklonymi drzwiami i za oknem). Patrzeć na tę okropną iluminację nie mogę, nie mogę, nie mogę! (Mówiąc poprzednie wyrazy siada na jednym z krzeseł po lewej stronie sceny i zasłania oczy chusteczką. — Po każdym grzmocie febryczne drżenie porusza jej ciało, a z ust wyrwywają się ciche jęki: »oj! oj!«).

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Z Wenecji podążyli do Monachium, gdzie w drugiej połowie czerwca nastąpiło rozłączenie¹⁾: pani Joanna udała się do Frankfurtu nad Menem, zkaż miała zamiar przenieść się niebawem do Wiesbaden; Jaroszyński puścił się do Ems, ażeby ostatecznie wodami tamtejszemi i powietrzem przywrócić płucom dawne zdrowie i hart; Krasiński zaś, z Danielewiczem i Sauvannem, jak zwykle, pojechał do Kissingen, którego

¹⁾ Dnia 10 lipca 1834 z Kissingen, pisze Krasiński do Gaszyńskiego: »Twój list odebrałem jeszcze w Münich przed trzema tygodniami, ale, że potem zaraz wyjechałem, a tu spotkałem się z moim ojcem i t. d. i t. d.«. Przed trzema tygodniami, a więc około 18—20 czerwca. »Zaraz potem wyjechałem«, t. z. że wyjazd z Monachium nastąpił między 20 mniej więcej a 25 czerwca.

HRABIA.

Ściemniło się zupełnie. Możeby kazać podać światło?

KASZTELANOWA (sięgając ręką po dzwonek).

Niezawodnie...

HRABIA.

Niech się pani nie fatyguje. Pójdę powiedzieć... (Wychodzi na lewo).

KASZTELANOWA.

Dziękuję. (Zwraca się do rejenta). Panie rejencie, proszę...

REJENT (zbliża się).

Co pani dobrodziejka rozkaże?... Jestem na jej usługi.

KASZTELANOWA (po cichu).

Czy umowa z obu zawarta?

REJENT (po cichu).

Hrabia się zgadza — szambelan nie.

KASZTELANOWA (j. w.).

Tem gorzej dla niego! (Chwila ogólnego milczenia. — Wszyscy rozproszeni po pokoju. — Szambelan oparty o fortepian. — Matylda siedzi. — Księżę przy oknie z oczami wlepionymi w Terenię. — Rejent przed kasztelanową. — Ludwik przy drzwiach w głębi. — Karolina przy Tereni, ale nie mówi z sobą. — Hrabia wraca. — Za nim Maciej i Józef wnoszą świeczniki z zapalonymi świecami, ustawiają je i wychodzą).

REJENT (po wyjściu służby nachyla się do kasztelanowej i pyta).

Czy pani kasztelanowa ma jeszcze co do polecenia?

KASZTELANOWA (półgłosem).

W tej chwili nic, ale wieczorem prosić cię będę o spisanie intercyzy... i testamentu.

REJENT.

Dwóch aktów — różnych treści i celem.

KASZTELANOWA.

Czy całe istnienie nasze nie składa się z podobnych różnic? (Grzmot). Ot i teraz przyroda swymi niewczesnymi dąsami sprzecza się z wielką radością, przepelniającą serce moje. (Rejent kłania się, jakby chciał odejść; kasztelanowa wyciąga do niego rękę, którą on z uszanowaniem całuje). Pozostań z nami, stary przyjacielu, nie odchodź. Zaraz wszystkim oznajmię, z czego się tak mocno cieszę. (Rejent kłania się i staje przy Karolinie).

ZYGMUNT SARNECKI.

wody miał zalecone przez lekarzy i gdzie nań czekał już ojciec, hrabia Wincenty¹⁾. Po miesiącu przeszło pobytu w Kissingen, miesiącu, który mu z powodu rozłączenia z ukochaną, był »długą goryczą« (pomimo, że pisywali do siebie często), pospieszył Krasiński zaraz po rozstaniu się z powracającym do kraju ojcem, do Wiesbadenu, gdzie mu przy boku ukochanej spędzone dwa miesiące (często w salonach sławnego

¹⁾ Do tego, zresztą niedługiego okresu w życiu Zygmunta, posiadamy danych biograficznych niewiele. Są niemi, jak dotąd, jedynie dwa listy Krasińskiego: jeden do Soltana (bez daty, ale z roku 1834, str. 2—3) i drugi do Gaszyńskiego z Kissingen, datowany d. 10 lipca 1834 r. W liście tym pisze poeta: »Tymczasem pisz do Frankfurtu nad Menem, bo jeszcze ze dwa miesiące zabawię w Wiesbaden (gdzie

domu gry) długim szeregiem dość często powtarzających się »chwilowych uniesień«, wynagrodziły poniekąd ową »długą gorycz« nudnych i smutnych dni Kissingen'u. Mieszkając przeważnie w Wiesbaden — ponieważ w Wiesbaden piła wody pani Joanna — i mając ztamtąd do Frankfurtu i Ems nie więcej jak dwie godziny drogi pocztą, bywał tam raz po raz: we Frankfurcie za interesami, albowiem układał się właśnie z wydawcą tamtejszym Jugiem, co do nakładu »Nieboskiej«, którą podobnie jak »Agay Hana« poświęcił »Maryi« t. j. pani Bobrowej; w Ems zaś przez wzgląd na Jaroszyńskiego, z którym rozmowy poufne — najwięcej naturalnie o pani Bobrowej — wielką mu przynosiły ulgę w chwilach »goryczy« i »opadnienia«. A chwile takie, z powodu fałszywego położenia, w jakim się znalazł nagle, pokochawszy kobietę, która była żoną innego, zdarzały mu się nader często. To też, odkąd »z chmur zstąpił na ziemię«, t. j. odkąd się »wziął do życia«, więcej nierównie, aniżeli »puharów wesela«, zdarzyło mu się wychylić »puharów goryczy«. Ale trudno — myślał sobie poeta — *il faut passer par là*. »By dobrze pisać trzeba żyć wprzód«. Dlatego »zarzuci na pewny czas pisanie i... weźmie się do życia«.

— Wychylę kilka puharów wesela, kilka puharów boleści, po ludzku kochać będę, po ludzku cierpieć, a potem siadę i napiszę, i to będzie dobrem. Materya nie jest tak podłą rzeczą, jak sądziłem dotąd; my przez wieczność będziemy w materyalnych ciałach; nie ma ducha bez materyi, jak nie ma myśli bez słowa, jak nie ma ciała bez formy... Tak więc zmodyfikowałem się i z chmur zstąpiłem. Co różni człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego, od człowieka idealnego czysto? To, że w pierwszym jest ciągle życie, to jest przemiana i walka uczuć, a w drugim tylko myśl jedna, tor jeden, metoda zawždy ta sama. Są chwile uniesienia i opadnienia¹⁾, to się życiem zowie, to jest ruch, to śledzić i poznać należy²⁾.

W myśl tej dewizy postępując, »żył« i wchłaniał w siebie wszystkie zdrowe i niezdrowe miazmaty życia, na które coraz mniej zaczął się obecnie zapartywać przez pryzmat poematów Byrona, a coraz więcej przez pryzmat realistycznych powieści Balzaka³⁾.

— Ja żyję, ale jak żyję, tobym trudno opisać — donosił Gaszyńskiemu z Frankfurtu dnia 23 sierpnia 1834. — Jest we mnie naprzód pierwiastek zgubnej goryczy jakiejś, pierwiastek, który objawia się ciągle:

była pani Bobrowa) i w Ems (z Jaroszyńskim). W liście do Soltana zaś (pisanym prawdopodobnie z Frankfurtu, we wrześniu) czytamy: »Odebrałem twój list w Ems... Moje losy, od kiedyśmy się widzieli (w Rzymie, gdzie Soltan mieszkał wtedy stale) były przeplatane chwilowymi uniesieniami i długą goryczą (*Cherchez la femme*). Moje oczy mają się lepiej. Przed tygodniem miałem bardzo przykre zdarzenie. Odprowadzałem księżnę Adamową (Czartoryską) do Koblenz. Jej doktor (Dworzaczek) ubrzdawszy sobie coś do mnie (*cherchez la femme*) wyzwał mnie na śmiertelny pojedynek *in obec dam dziesięciu* (musiała być pomiędzy damami temi i pani Bobrowa). Odpowiedziałem mu, że jest *un assassin*, bo najgrzeczniejszy byłem zawsze dla niego. Przyjąłem wyzwanie. Nastąpiły sceny najdolegliwsze dla mnie, dla księżny i t. d. i t. d. Wreszcie on zemknął...« List ten krótki — co jest dziwnem jak u Krasińskiego — pisany niedbale, krótkimi, urywanymi zdaniem, bez najmniejszej dbałości o styl, świadczy wyraźnie, że dusza poety, opętana przez potęgujące się z dniem każdym uczucie miłości, daleką była od równowagi i spokoju.

¹⁾ Wszystko pisanem już jest widocznie pod wpływem osobistego doświadczenia.

²⁾ List 10 lipca 1834 (do Gaszyńskiego).

³⁾ »Wiesz ty, że Byron stracił względy moje« i t. d. (List z 10 lipca 1834).

czy się rzucę na chmury i siedzę nad ziemią, czy zejść na ziemię i rzeczywistości się chwyć, tak, że rzeczywistość jeszcze zda mi się ideałem (bo trafiały mu się i takie chwile). Fizycznych nawet rozkoszy dopełnionych nie ma; umysłowe są jeszcze błędniejsze. Gdzie jesteśmy? Gdzie żyjemy?

Wszystkie te wątpliwości i rozkosze, gorycze i uniesienia, złożyły się w umyśle młodego autora »Nieboskiej« na powieść »à la Balzak«, powieść, do której między innymi wchodził także i »romans meżatki z oficerem polskim w Londynie, po wzięciu Warszawy«, powieść, w której występowali również »i Grzymała monstrum, i Lelewel etc.«, a która, w przekonaniu poety, udała mu się...¹⁾.

Powieść tę — jak łatwo przypuścić — nieomieszkał przeczytać pani Bobrowej.

Tak upłynęły dwa miesiące, sierpień i wrzesień, »przeplatane chwilowymi uniesieniami i długą goryczą«. Z końcem września, po czułym pożegnaniu z ukochaną, również opuszczającą Wiesbaden i jadącą na czas jakiś do Drezna²⁾ (zkaż, jeżeli nie tak dalece nie stanie na przeszkodzie, obiecała mu przyjechać po świętach Bożego Narodzenia do Neapolu), począł się Krasiński opuszczać na dół, ku Włochom. Stanąwszy w Medyolanie, gdzie po raz pierwszy przeczytał »Pana Tadeusza«, spędził tu cały miesiąc październik. W Neapolu (miał bowiem zamiar zimę przepędzić w Neapolu) nie było jeszcze co robić. Nie spieszył się więc, zwłaszcza, iż do miejsca pobytu nie przywiązywał w tej chwili żadnej wagi, skoro był sam, a jeżeli nie sam zupełnie, zważywszy, iż miał przy sobie Sauvana i Danielewicza, to w każdym razie daleko od tej, która — jak mu się zdawało — owładnęła całą jego istotą i bez której, dzisiaj przynajmniej, nie rozumiał szczęścia na ziemi. Stęskniony za nią, pomimo częstych listów, jakie pisywał do niej i jakie otrzymywał od niej, uczuwał chwilami taką »próżnię ducha«, iż łamał wtedy — jak powiada — serce we dwoje, »jak kartę nieszczęśliwą, która przegrała dziesięć razy raz po raz w faraona«, i nie życzył nikomu, ażeby przez podobne duszy rozstroje przechodził. »W tych chwilach — pisał do Gaszyńskiego — wszystko mi się tak bez nadziei wydaje, życie ziemskie tak ograniczone, tak ciasne, a żądania moje tak ogromne, że wątpię o wszystkim«.

— To pewna — czytamy w tymże liście — że dotąd nic nie zaspokoilo pragnień moich na tym świecie. Ani żądom mojej miłości własnej, ani żądom *serca mego nigdy nie stało się zadość, choć miałem chwile szczęśliwe dla jednych i dla drugich*. Ale zawsze więcej, ale zawsze dalej goni myśl moja: często nawet nie wiedzieć gdzie. Sam nie wyrozumiałbym, czego żądam, ale czuję skorpioną żądań, przewracającego się we wnętrzościach moich, który nie do-

¹⁾ Powieść ta, jak o tem wiem od prof. Stan. Tarnowskiego (z prywatnego listu do mnie) nie zaginęła. Sądzę, że wartoby ją ogłosić drukiem. Przypuszczam, że musi w niej zachodzić pewne podobieństwo pomiędzy owym oficerem polskim, a samym Krasińskim (który, gdyby nie zakaz ojca, byłby może w r. 1831 przy wzięciu Warszawy oficerem polskim) i pomiędzy ową meżatką, a panią Bobrową. Zob. list do Gaszyńskiego, odpowiedź, na list jego, odebrany w Wiesbaden. (»Odebrałem twój list w Wiesbaden« etc.) str. 54.

²⁾ Większość listów Krasińskiego do pani Bobrowej, pisanych w latach 1834 i 1835, adresowaną jest do Drezna. Listów tych zachowało się 14. Dzisiaj znajdują się one w posiadaniu wnuków pani Bobrowej. Przypuszczam, że listów tych musiało być znacznie więcej. Prawdopodobnie część ich zniszczyła sama pani Bobrowa, zostawiając te tylko, które jej były najdroższe.

HENRYK DYRDON.



J. K. Turski.	J. Jaroszyński.	J. Matejko.	E. Lubowski.	P. Filipi.	A. Gostkowski.	W. Gadowski.
Artur Grottger.	K. Hofman.			J. Szymański.	F. M. Wyspiański.	
J. Szujski.	Szyndlerowski.	A. Belcikowski.	M. Bałucki.	A. Kotsis.	Fr. Mokrzycki.	W. Rzewuski.
				F. Cynk.	Wł. L. Anczyk.	

stawszy nic, sam siebie zakława. Tyś nie tak stworzony: ty miewasz błogie dni, pełne dziękczynień ku Bogu i ku ludziom, którzy cię kochają. Ty pośród czarownej okolicy przestajesz na jej pięknościach... Ty nie czujesz nigdy, jakoby część jakaś twoja nie była przy tobie, ale wyprzedziła ciebie i goniła dalej, i żądała więcej, i rozdzierała swojemi wołaniami resztę twojej duszy spokojnej... W tobie namiętność nigdy w rozuzdanie nie przejdzie. Jej najwyższym szczeblem będą łzy rozczulenia, kiedy we mnie zdarzyć się mogą wściekle uniesienia, rozpacz nieopisane. Bo im więcej żądam, tem częściej się zawodzę. Takie istoty, jak ja, powinny rodzić się w wiośniwym Edenie, przed grzechem pierworodnym, kiedy wszystko było świętem i wolnem¹⁾; lub prosto w piekle, skoro im los już kazał narodzić się wśród niedopełnionych, w grzechu i karze żyjących stworzeń.

Spleen ten, tak boleśnie dający się uczuć poecie w Medyolanie, zawlókł się za nim aż do Rzymu, gdzie go męczył i dręczył... wspomnieniami.

Wspomnieniami temi, jak Eumenidami prześladowany, »gryzł pięść« z rozpacz; nie mogąc sobie nigdzie miejsca znaleźć, ani się pogodzić z rzeczywistością, uciekał od niej aż do starożytnego świata, do Romy Heliogabala, do czasów, gdzie motłoch i Cezar były Rzymem całym, kiedy wszystko, co w nim żyło, psuło się, rozprzegało, szalało.

Obmyślał »Irydioną«.

Dawało mu to przynajmniej zapomnienie, absorbowало umysł i wyobraźnię. Swoją drogą, gdziekolwiek się obrócił, gdziekolwiek poszedł, sam, bez niej, gdzie — temu rok — byli razem, wszędzie doznawał wrażenia, że chodzi po cmentarzu pamiątek, że stapa po mogiłach swojego szczęścia, swojej młodości. Z każdej ulicy, z każdej ruiny, pozostającej »w uściskach z bluszczu i w trumnach z giętkiego powoju«, z każdego cienia cyprysowego, zewsząd wyglądała błogosławiona, promienna, poetyczna, a tak niedaleka przeszłość. A jednak, pomimo tego, kto wie, czy ta przeszłość właśnie i te wspomnienia, pod których urokiem pozostawał, nie przyczyniły się głównie, że zmienił zamiar i zamiast jechać dalej, do Neapolu, jak to sobie planował z początku²⁾, został w Rzymie. W Nea-

polu nie miałby — oprócz Sauvana i Danielewicza — nikogo, kiedy w Rzymie, oprócz Sołtana, księżny Civita Vechia (*da vero*), księżny Lubomirskiej, Jarożyńskiego (którego, pożegnawszy się z nim przed paru miesiącami w Ems, zastał obecnie nad Tybrem, w otoczeniu najbliższych: ojca Czesława, brata Henryka i siostry Hortensyi), Sołtyka, Rajeckiego, Aleksandra Potockiego i innych dawnych znajomych, jak ks. Torlonia, Chiavari, Aiguez, Skibiccy, znalazł Ankiewiczów, u których za pierwszego swojego w roku 1831 pobytu w Rzymie, codziennym prawie był gościem, a którzy znów tu przywędrowali z Krakowa ze względu na zdrowie córki swej, Henryetty, znalazł Zabiellów, generała Ludwika hr. Paca, który przekonany o potrzebie zasad i wychowania religijnego, przyjechał tu z Paryża, ażeby córkę swą umieścić w klasztorze francuskim Sacré-Coeur³⁾.

Niestety, nawet towarzystwo to, chociaż tak liczne i sympatyczne, nie było mu zdolne zastąpić nieobecności jednej osoby, o której myśl, wraz z tęsknotą za nią, przyprowadzała go o »słabość i brak równowagi ducha«, tak dalece, że się z tem ukryć nie mógł, pisząc np. do Gaszyńskiego, do którego w liście swym z dnia 29 listopada 1834 r. pisał między innemi, co następuje: »Wciąż słaby jestem na duchu; *roją mi się fantazmata w sercu i w mózgu, nieskończone żądze, niewymowne upragnienia*, którym nigdy nie stanie się zadość, jako się nigdy nie stało. *Są chwile, w których upadam na łóżko i leżę, jak martwy*, ale są i takie, w których myśli duszy mojej wyteżam, gdyby ramion tysiąc, w które objąć chcę świat cały, wszystkie piękności ziemi i nieba... *O, gdybym choć raz mógł na jawie obaczyć wszystkie moje ukryte żądze, sklezione w ciało, ubrane w formę*. Ponieważ jestem mężczyzną, ta forma musiałaby być kobietą. I nie byłby to posąg Pigmaliona, ale ona, utworzona z żebra duszy mojej. Poznałaby mnie: byłaby mną i sobą zarazem. O, wtedy sam na sam ukląkłbym przed jej *śnieżnem ciałem*. Nie byłaby to Wenus grecka, owszem, w jej urodzie przebijałaby się powaga Apollina Belwederskiego; ale ta uroda wzniosła, ta duma wzroku, to panowanie nad wszystkiemi, w łzy by się rozplynęły nademną... Ale niema, niema jej, więc pięść gryzę, jak niedźwiedź litewski« i t. d. i t. d.

polu i tam zimę bawić. To samo w listach do Gaszyńskiego: »Do tego czasu pisz do Frankfurtu, potem do Genui, a potem do Neapolu«. W liście zaś z Medyolanu: »Teraz jadę do Neapolu, ale w Rzymie zabawię z 15 dni«. Przyjechawszy jednak do Rzymu, pisze (do Gaszyńskiego, 29 listopada 1834): »Przybywszy do Rzymu ugrzązłem i siedzę tu do czwartego marca, potem do Neapolu jadę«.

¹⁾ Zob. Rocznik Tow. Hist. Lit. w Paryżu, 1873—1878. T. I, str. 250.

FERDYNAND HÖSICK.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OSTATNI ROMANTYK.

(Ciąg dalszy).

II.

Naszkicowawszy ogólny charakter poezji K. Ujejskiego, przejdziemy teraz do jego poglądów politycznych, socjologicznych i religijnych, ażeby się krótko nad niemi zastanowić. Poprzednio staraliśmy się poznać poeetę, teraz postaramy się naszkicować postać człowieka żyjącego i myślącego w społeczeństwie, pozbawionem normalnego życia. Wyjątkowość politycznego

położenia, ścieśniająca granice samodzielnego rozwoju narodu; nieprawidłowość społecznych stosunków różnych klas i warstw, niemożliwa do przełamania, a często w celu osłabienia wewnętrznego wywołwana sztucznie; przewaga wpływów wstecznych na życie umysłowe narodu, nie dająca się poważnie zaprzeczyć — wszystko to razem wzięte nie mogło nie pozostawić

śladów w myślach i uczuciach poety, żyjącego pieśnią, czerpaną z natchnień dziejowej chwili. Kierunku, jaki się zaznaczył w poezji polskiej, nie wytworzył K. Ujejski, tak samo jak nie stworzyli go ani Mickiewicz, ani Słowacki, ani Krasiński; powstał on pod wpływem bólów, uczuć, myśli, pragnień i nadziei, wyłącznie nieomal szlacheckiego społeczeństwa i skryształizował się pod formą poetycką.

W poezji K. Ujejskiego, jak w zwierciadle, odbijały się uczucia i myśli pewnego momentu dziejowego, ze wszystkimi cechami owoczesnego życia i z całą nieraz nieprawidłowością jego. Życie owo było wtedy jeszcze mniej pełne niż dziś, a tętna jego widoczne tylko na wierzchu, w warstwie najsilniejszej, najbogatszej i najwykształcenijszej — w szlachcie. Mała część jej żyła marzeniem i smutkiem, reszta w apatii niemocy, którą późniejsi sofiści ochrzczili mianem spokojnej pracy. Do nich to odzywał się poeta:

Mnie jątrzy ta niema spokojność,
Jaką nasz naród obleka w niedoli;
Każda męczarnia coraz mniej go boli,
A po zniewadze krzykiem nie ochrypia,
Ale się tuli w martwą bogobojność,
I w cichym płaczu jak dziecię usypia.
I tak mu miła sumienia swoboda,
Że śni pogodnie, błogo — jak ta woda. (I. 68).

K. Ujejski przyłączył się do mniejszości szlacheckiej, i jej uczucia, marzenia i zgrzyty bólu śpiewał, wierząc, że szlachcie pójść powinien i pójdzie przodem społeczności. Zetknawszy się z innymi warstwami narodu, zdrowy rozum poety przekonał się wkrótce, że to, co brał za naród, było jego częścią najmniejszą. Przeczuwał w większości narodu, w ludzie, siłę i potęgę przyszłości, ale do życia tej warstwy tylko o tyle sięgał, o ile ona stykała się ze szlachtą, w której ręku składał zawsze zwierzchnicze przewodnictwo. Do zapamiętania K. Ujejskiego na lud wrócimy nieco później. Na całokształt narodowy miał on pogląd prawdziwie idylliczny, przedstawiony w obrazie rodziny Piasta-kołodzieja. Według tego pojęcia, cały naród

O cesarzach nie słyszał nigdy, ni o królach,
I dzielił się na gminy, rządził się ojcam,
I od ojca narodu zwał się Lechitami,
I żył sobie swobodnie, jako pszczoły w ulach.
A już całym narodem, co miał kształt pasieki,
Rządził Bóg uśmiechnięty okiem swej opieki.
Więc prowadził ten naród żywot cichy, sielski
I pobożny był wielce, i prawie anielski. (I. 161).

Naturalnie nie zawsze szło tak pięknie; psuło się coś w idyllicznym nastroju Polski, bo ci, co z początku wiedli żywot »prawie anielski«, poczęli prowadzić »żywot święteczny, wesół: sprawiali uczty« (I, 99). Na tem nie skończyło się także, bo naród zeszpeciła »pajęczyna«, »pleśń trupia« (I, 98); prześwietał i przehulał żywot. K. Ujejski, narysowawszy Polskę nigdy nie istniejącą, idylliczną, przechodzi do drugiej ostateczności — apoteozy tego samego narodu szlacheckiego i wzorem poprzedników swoich głosić poczyną ideę mesyanizmu, posłannictwa duchowego. W chwili, gdy społeczeństwo potrzebowało szukać siły odrodzenia w sobie, w pracy codziennej, w skupieniu i miłości, na nizinach, u podstaw społecznych, K. Ujejski patrzył w niebo, »czy z jego szczytu sto słońce nie spadnie wrogom na znak«, a w narodowych błędach i winach widział »blask męczeństwa« (I, 37). Łudził się sam, mówiąc:

Na pogląd na przyszłość dam wam oko wieszczę,
Pieśnią pogodzę was z dzisiejszym losem . . .

Wódz, pełen szlachetnego zapалу, wołał do innych: »idźcie za mną!« Głosił upajającą doktrynę:

Wierzmy, Panie, o! wierzmy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie . . .
Wierzmy, Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Na naszej drodze . . . (I. 43).

Dziś nie trudno się przekonać, żeśmy nie »syny światła«, że to, co brano za gwiazdy, stało się cierpieniem na naszej drodze, że nikt »nie pogląda na nas jak na słońce« (I, 44), że jesteśmy bezsilni, słabi i grzeszni nieraz! K. Ujejski wierzył, żeśmy »z krzyża zeszli bez plam« (I, 47), że:

Ze szczytu naszych mogiłnych gór
Ogłosim ludom sojusz i mir —

my, którzy »sojuzu i miru« nigdy u siebie wytworzyć nie potrafili — dotychczas jeszcze! Naturalnie tymi głosicielami nowych dróg ludzkości miała być warstwa narodowa najsłabsza liczebnie i najwinniejsza historycznie. »Gminowi zaś« — który w tej i owej dzielnicy ziem polskich, prawdę powiedziawszy, jeden stawia czoło ze spokojną wytrwałością burzom dzisiejszym — »zdala od wielkich tajemnic, bo ich nie pojmie, nie przekroczy ciemnic« (I, 69). Taka teoria polityczna bardzo się podobała i ci, którzy tworzyli konfederacje radomskie a w Targowicy nie mogli doszukać się zdrady, bardzo chętnie przyjęli głosicielstwo idei o »posłannictwie Polski«, tembardziej, że siebie uważali za lud wybrany.

Kiedy poeta mówił:

Wierzę, że jeden zostanie Ararat
Zielony, wzniosły, a Polska nim będzie — (I, 69).

wierzył istotnie w posłannictwo Polski, jak wierzyła lepsza część owoczesnego szlacheckiego społeczeństwa.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że ideały polityczne K. Ujejskiego zwężone były wyłącznie do Polski szlacheckiej i że taka tylko miała być przodowniczka ludzkości, — jego Polska była całością narodową, której wszystkie części poeta znał i oceniał. Idealizując Polskę szlachecką, złożył hołd panującemu u nas prądowi w poezji i wogóle w literaturze, marzył o przyszłości, nie zakrywał wszakże oczu na dziś; widział dobrze, że pomimo pozorów »widomej śmierci osłabia nas zaród«, że »niby nas wiele, a jakżeż nas mało!« (I, 33). Wiedział, że w tych właśnie, którzy niby na czele narodu stoją:

Jadem powolnym krąży już zepsucie,
Pycha w nich piętrzy, a trawia ich chucie . . .
Jeśli się zerwą, — to krótkim zapalem;
Niezdolni wzniesć się do żadnej ofiary,
Popchnięci, w przyszłość idą. (I. 34).

K. Ujejski niedaremnie nazwał się »synem ludu« (I, 3); on kochał tak samo »lud gołębi« (I, 104) jak go kochał król chłopów; do szlachty więc odzywał się z prośbą z powodu Kościuszki:

O panowie, zróbcie miejsce, niech się zbliżą chlapi,
Niech tę trumnę miłowaną ich łza szczerza skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiędze.

Przejęty zasadami demokratycznymi emigracyjnemi, pragnął:

Ukochać lud nasz chęciami młodości,
Odkrywać perły, skryte w jego łonie,
Z znoju mu ścierać podeptane skronie
A karmić ziarnem wiary i miłości. (II. 45)

Do młodej swojej myśli wołał:

Wiąż mnie z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem
Kiedy go otchnę . . . (II. 55).

Położenie ludu porównywał poetycznie do »zawianej chaty«; zbudzony chłop niecierpliwie »wygląda

(Dokończenie nastąpi).

słońca«, choć »w niebie i w myśli jego noc i noc bez końca!« Przy pierwszych blaskach świtu »chwytą za łopatę, w świat, w jasność, w przyszłość lepszą wygrzebuje chatę« (II. 141).

FR. RAWITA.

ARTUR GROTTER W KRAKOWIE.

Grono tutejszych artystów powzięło w tych czasach piękną myśl, która niewątpliwie sympatyczne echo znajdzie u całego ogółu — myśl postawienia Arturowi Grotterowi pomnika w Krakowie. Ta okoliczność przypominała mi pewną chwilę w moim życiu, w której raz pierwszy i ostatni miałem sposobność spotkać się z tym genialnym mistrzem ołówka. Wspomnienia podobne, sądzę, nie są tylko prywatną własnością, a najmniejsze nawet może się kiedyś przydać przyszłemu historykowi. Dlatego pozwólcie, że tę chwilę, o ile się w mej pamięci zachowała, opowiem.

W zimie roku 1864 na 65 była już w Krakowie spora garstka literatów i artystów. Nie było ich tyle co dzisiaj, nie byli jeszcze jakąś odrębną warstwą społeczną, i sztuka, a zwłaszcza literatura, nie dawała jeszcze wtedy pewnego stanowiska, i choćby jakiegoś takiego kawałka chleba. Ale ówczesni literaci i artyści byli już pierwszym zawiązkiem i rozsiewnikiem tego, co właśnie później i w naszym społeczeństwie, kiedy już gdzieś indziej od niepamiętnych lat istniało, nareszcie miało się utworzyć. Byli też to wszyscy ludzie bardzo młodzi, i z jednym może lub dwoma wyjątkami, żaden nie dosięgał lat trzydziestu. Ogół, szeroka publiczność, nawet naród cały, znów z tak nielicznymi wyjątkami, nic, albo bardzo mało co o nich wiedział. Jeden i drugi wiersz, albo powiastka, wydrukowane w jakimś czasopiśmie, jakaś niewielka książeczka, najczęściej własnym nakładem wydana, skromny obrazek lub figura gipsowa, które się na wystawie pokazały — to był dotychczas cały ich dorobek duchowy. Znali się zatem tylko najwięcej między sobą sami, i cenili się i szacowali nie podług tego, co dotąd mogli wykonać, ale więcej podług swoich artystycznych aspiracji, i według mniejszych lub większych zarodków talentu, który instynktowo w sobie przeczuwali. Tych aspiracji artystycznych, tych porywów ku przyszłości i twórczej siły było między nimi dosyć, jak to późniejsze lata pokazały; ta młoda gwardya nosiła wszystka marszałkowskie laski

w tornistrze, a niejedyn z niej rzeczywiście taką laskę później sobie zdobył.

Nic naturalniejszego, jak że tych kilkunastu młodych synów Apollina pod sztandarem rozmaitych muz w życie wchodzących, rozsypanych po mieście wśród odmiennych od siebie żywiołów, przykutych z potrzeby do różnych, nieraz nieprzyjemnych zajęć chlebobodajnych, pragnęło zbliżyć się ku sobie, skupić się w większą gromadkę dla nabrania siły i ochoty do dalszego postępu na obranej drodze i dla stworzenia sobie choćby na pewne chwile jakiejś atmosfery, w którejby swobodniej i lżej, podług miary własnych płuc swoich, oddychać można było. O utworzeniu jakiegoś kasyna, koła artystyczno-literackiego, mowy jeszcze wtenczas być nie mogło. Nie stało jeszcze wtedy na to dosyć sił ani moralnych ani materialnych. Atmosfera polityczna nie była też jeszcze tak lekka i pogodna jak później i wszelkie stowarzyszenia, zwłaszcza ludzi młodych, Niemile były widziane tam, gdzie o ich istnieniu lub nieistnieniu decydowano. W braku więc podobnego publicznego ogniska, ze swoim lokalem, statutem, zarządzającym wydziałem i wszystkimi inne-

mi rzeczami, które do tego należą, postanowiono zbierać się prywatnie, co pewien czas po kolei u jednego z kolegów. Każdorazowy gospodarz miał obowiązek w swoim mieszkaniu dać członkom tego grona skromne przyjęcie, które wprowadzie przewyższało ucztę, jaką wyprawiał sobie ów konsul rzymski, zającący rzepe, ale ani żołądków przeciążyć, ani tem bardziej głowy zawrócić wcale nie mogło.

Wesoło mimo to bywało na tych zebraniach, a nadewszystko było nam dobrze dlatego, że czuliśmy się w swoim żywiole. Gawędzono i rozprawiano o literaturze i sztuce; czasem któryś z literatów odczytał coś z prac swoich, czasem malarz lub rzeźbiarz pokazał swój najnowszy obraz lub model w glinie nalepiony, a natychmiastowa krytyka po koleżeńsku, ciepło, czasem z gorącym wykrzyknikiem entuzjazmu, czasem znów w formie dobrodusznego żartu wypo-



KORNEL UJEJSKI.

JÓZEF BRANDT.



POWRÓT ZWYCIĘZCÓW.

wiedziana, dodała bodźca do dalszych usiłowań, zmuszała do refleksji i naprowadzała na lepsze tory.

Uczestnikom tych koleżeńskich schadzek najbardziej ze wszystkich utkwily pewnie w pamięci zgromadzenia, jakie się odbywały u rzeźbiarza Parysa Filipiego. Ależ bo dekoracja była tam dla umysłów choć cokolwiek artystycznych tak wspaniała! Filipi podejmował nas w swojej pracowni, a pracownię tę miał w gmachu do klasztoru Franciszkanów należącym, w tej samej sali, w której teraz odbywają się lekcje dla kobiet w muzeum Dra Baranieckiego. Proszę sobie wyobrazić tę wielką salę, nie tak czystą i białą jak dzisiaj, ale pokrytą wieloletnim pyłem, więc szarą, brudną i posępną — i oświeconą w całej swojej obszerności tylko jedną, jedyną lampą; zarzuconą modelami z gliny, sztalugami, gipsowymi figurami i t. p. a łatwo będzie uwierzyć, że ten mrok, kończący się w dalszej przestrzeni zupełną ciemnością, te martwe postacie bogów i ludzi ze swą grobową białością, to echo słów, szeroko się rozchodzące po obszernej i wysokiej sklepionej sali, nadawały temu miejscu jakiś do fantazyi przemawiający urok. Ten gruby półcień i ci gipsowi bogowie z pośród niego po wszystkich stronach się wynurzający, sprawiali, że zapominaliśmy w tem otoczeniu o rzeczywistym, codziennym świecie, od którego jedne tylko drzwi tej sali nas oddzielały.

Wtem pewnego dnia przy końcu stycznia 1865 przychodzi do nas wiadomość, że Grottger — Artur Grottger — przyjeżdża do Krakowa.

Grottger był już wtedy tak wielkim, jakim jest, i jakim zostanie na zawsze; już wtedy był twórcą »Warszawy« i »Lituanii«, zatem pierwszym i podobno jedynym poetą 63 roku. Może już wtedy miał w głowie i »Wojnę«, ale to ostatnie wielkie jego dzieło utrwaliło tylko jego sławę, i do niej nic już nie dodało, bo po dwóch pierwszych trudno coś więcej było dodać.

Można sobie wyobrazić jakie wrażenie ta wiadomość na naszej młodej kolonii artystyczno-literackiej sprawiła. Huczek stał się niemały! Ulubieniec i chluba narodu miał stanąć między nami, a jak ci co go osobicie znali, głosili, i człowiek najsympatyczniejszy, i kolega jakich mało w świecie, i towarzysz w każdym kółku nieoceniony.

Nie pamiętam, jak ówczesny Kraków starszy, Kraków oficjalny i obywatelski przyjął Grottgera w swoich murach; zdaje mi się, że żadnego uroczystego przyjęcia mu nie zgotował, choć powinien był to uczynić. My, ta garstka ówczesnych młodych literatów i artystów w Krakowie, nie pytaliśmy zresztą o to, nie oglądaliśmy się na to, co inni robią, tylko sami postanowiliśmy uczcić w swym gronie Grottgera według sił i możliwości.

Przyjęcie to odbyło się w hotelu »pod Białym Orłem« na ulicy Floryańskiej. Do naszej artystyczno-literackiej garstki przyłączyło się także kilku filistrów, zacnych ludzi z miasta, którzy pragnęli poznać Grottgera i złożyć mu swoją czołobitność. Było to więc grono jak najlepiej do siebie dobrane i jednolite. Szczerść, swoboda, a ani śladu przymusu i sztywności, taka musiała być cecha, która tę biesiadę na uczenie znakomitego gościa od wielu innych, których uczestnikiem być mi się zdarzyło, z wielką jej korzyścią odróżniała. A zresztą kto znał Grottgera, musi przyznać, że tam, gdzie on się znajdował, inaczej być nie mogło. On wnosił wszędzie z sobą jakiś pierwiastek ser-

deczny, stanowiący grunt jego natury. Tak i tym razem się stało. Jego wielkość może nas i trochę żenowała, dopóki nie zobaczyliśmy go i nie poznali; może z pewną obawą zapytywaliśmy się siebie samych, jak my znajdziemy się obok niego, jakim on wobec nas się pokaże, czy nie powstanie jakiś dyssonans rażący, czy się nie zrodzi jakaś chłodna atmosfera, gdy przy tym wspólnym stole usiądą obok siebie wielka jego sława i skromne nasze ówczesne aspiracje? Ale gdy Grottger wszedł, gdy się uśmiechnął po swojemu, gdy nas serdecznie uścisnął za ręce, i bez cienia pozy albo blagi, zasiadł między nami, jakby od lat wielu codziennym był naszym towarzyszem, od razu jakiś ciepły duch powiał po całym zgromadzeniu, roztęlały od razu wszystkie serca i nikomu nie przyszło już na myśl, że w obecności Grottgera mogłoby go coś krępować i swobodę mu odbierać.

Grottger, co rzecz rzadka przy podobnych sposobnościach i co jedną z pięknych stron jego wyższego charakteru stanowiło, nie przygniatał nas swoją wielkością. On, już wtedy mistrz skończony, był z nami, którzy do adeptów ledwie liczyć się zaczęliśmy, jak najlepszy kolega z równymi sobie co do stanowiska. Prostý i naturalny, jak każdy wyższy umysł, wylany, z sercem na dłoni, a przytem niewyczerpany w wesołości i humorze, stał się duszą całego naszego zebrania, i na niem od razu piętno swej osobistości wycisnął. Przemawiali inni do niego, przemawiał i on często, na każdą mowę znajdując coś trafnego do odpowiedzenia; śpiewał tak jak inni, opowiadał anegdoty z życia artystycznego, sypał dowcipami i baraszkował jak student.

Wesoło też, wesoło i jakoś ciepło i serdecznie było na tej kolacyi dla Grottgera. Zapomnieliśmy o wszelkiej oficjalnej powadze, zapomnieliśmy o smutkach i ogólnych i tych, co każdemu z osobna w życiu dogryzają, i hołdowaliśmy przez tę noc tylko dwom bóstwom, zaiste najpiękniejszym dla człowieka na ziemi: młodości i ideałowi. A że Grottger najwięcej przyczynił się do tego, że te dwa bóstwa między nas wtedy zeszyły, tego nie potrzeba dodawać.

Niektórzy starsi wcześniej nas opuścili, ale młoda nasza gromada, nie czując nawet, jak ten czas przeszedł, przebawiła się w ten sposób na tej biesiadzie duchowej — bo mogę sumiennie zaręczyć, że materialna była tylko mniej ważnym dodatkiem — aż do godziny 6 rano.

Nimeśmy się rozeszli i pożegnali Grottgera, umówiliśmy się, że zaraz tego dnia o godzinie 11-tej będziemy się razem fotografować na pamiątkę i Grottgera i tego dzisiejszego zebrania. Mimo niespanej nocy, oznaczono tak prędki termin, bo Grottger już tego dnia, czy też nazajutrz, miał Kraków opuścić.

Ani Szujski, który wtedy pisał swoje »Dzieje Polski«, ani Matejko, który był już wtedy twórcą »Kazania Skargi«, nie brali udziału w naszej uczcie dla Grottgera. Aby ich jednakowoż nie brakowało na fotografii, która głównie na pamiątkę pobytu Grottgera w Krakowie była przeznaczona, zaprosiliśmy ich, aby się razem z innymi u Rzewuskiego stawili.

O jedenastej, jak było zapowiedziane, znaleźliśmy się tam wszyscy, i obaj zaproszeni także. Czy ówczesna pracownia Rzewuskiego nie była odpowiednia i dość obszerna dla zrobienia większej grupy, czy może dla jakiejś fantazyi, która komuś przyszła do głowy, zgodzono się na to, żeby się fotografować na dziedzińcu. Choć dosyć było tego dnia mroźno, myśl ta

była jednak nader szczęśliwą, bo grupa mogła się swobodnie ułożyć i roztasować z większą malowniczą rozmaitością na wielkich ciosowych kamieniach, które przypadkiem wtedy na dziedzińcu się znajdowały i nam bardzo dobrze za dekoracyjne rusztowanie posłużyły.

Ułożenie tej grupy było dziełem Grottgera. Miejsca mniej więcej obraliśmy sobie sami, ale on komenderował jej całością i układem pojedynczych figur. Dużo jednakowoż czasu upłynęło, najmniej z półtorej godziny, nim doszedł z nami do ładu. Było nas za wielu, w za dobrych byliśmy humorach, aby zachować potrzebną przy fotografii powagę i nieruchomość. W chwili stanowczej zawsze ktoś wyrwał się z jakimś konceptem lub parsknął śmiechem, a za nim inni, i cała sztuka na nic; trzeba było na nowo ustawiać się do grupy i wzbudzać w sobie przybraną do tego aktu powagę. To długie grupowanie się miało ten skutek, żeśmy trochę zziębli pod gołym niebem, a ponieważ tej nocy także całkiem nie spaliśmy, pewne zmęczenie odbiło się na naszych fizyognomiach.

Nareszcie kamera obskura zdolną była zrobić swoje i fotografowanie skończyło się szczęśliwie ¹⁾.

¹⁾ Według fotografii, o której mowa — dziś bardzo rzadkiej — nakreślił utalentowany artysta wierny rysunek, który w doskonałej reprodukcji zamieszczamy w dzisiejszym zeszycie *Świata*, pewni, że ten

Na wielkim ciosie, leżącym w śniegu na samym przodzie tej grupy napisał ktoś węglem datę: 1865. ^{27/1}, a napis ten zachował nam dokładną pamiątkę owego dnia, który, jak później miałem się nieraz sposobność przekonać, trwałe i słodkie u uczestników naszej gromadki zostawił po sobie wspomnienie.

Trzy lata jeszcze nie upłynęło od tego czasu, a Grottger już nie żył. Wcześniej, galopującym krokiem doszedłszy do mistrzostwa i europejskiej sławy, prędko, ledwie w połowie dni swoich, jak podobni mu artystyczną karierą Mozart lub Byron zszedł z tego świata. On pierwszy ubył z tej naszej pamiątkowej grupy, jak pierwszym był na niej z kraja, gdzie się ustawił, aby nami lepiej komenderować i mieć nas na oku. Po nim w różnych czasach poszło już wielu innych; odpadali jak liście z gałęzi jeden po drugim, i gdy dzisiaj, w dwudziestośmio-letnią rocznicę owego dnia, liczę na tej fotografii ubyłych i pozostałych, widzę ze smutkiem, że z tych dwudziestu, wówczas tak młodych ludzi, prawie połowa, bo dziewięciu już, nie dostaje. Wszyscy zmarli za wcześniej, a jeden z nich tylko starszych lat dożył.

cenny ilustracyjny dokument, dopełniający interesujące opowiadanie A. Bełcikowskiego, mile będzie powitany przez czytelników naszych. (Przypisek Redakcyi).

ADAM BEŁCIKOWSKI.

PROFILE POETÓW CZESKICH.

I.

JAROSŁAW VRCHLICKI.

(Emil Frida).

(Ciąg dalszy).

Wróćmy teraz na chwilę do pierwszego porównania, którem rozpoczęliśmy tę antytetyczną między obu poetami paralelę, a wszystko, cośmy powiedzieli, zbiegnie się w dwa plastycznie uwydatniające całą głębię różnic obrazy. Na jednym, nieco już cieniem przeszłości przymglonym, ujrzymy tytaniczną postać, ujeżdżającą na hippogryfie bajecznym, który, zanim krok przed siebie zrobi, naprzód dziłkami skoki w zenit i w nadir, na dno otchłani i na niebios wyżyny, w mrok najgłębszy i na samo słońce jeźdźca swego rzucić musi. Ten nawyk już — zda się — do tych szaleństw i — upajając się olbrzymością wizyj, które w zbroicy jego, z ócz orlich skowanej, piorunem odbłyśkują ogniami — sam machinalnie rumaka ku rzutom coraz wścieklejszym zachęca. Częstokroć wszakże wprzega go w ciężkie pługi, i zamiast bujać w beznamiernych widnokręgach, ciasne, jałowe pólko orać mu każe. Wówczas wściekła rozpoczyna się walka: niekiedy nieuskromiony żrebiec, strzaskawszy jarzma, lub pług za sobą w przestwór porywając, tem szalenię w lot się wzbija — i wtedy w orlich zbroi żrenicach jakieś bezdenne zwierciadło się poczynają perspektywy, jakieś boskie rozbłyskać światła; czasem znowu wszakże ciężar zaprzęgu i ręka jeźdźca nie puszcza go od padolu — i szlachetne zwierzę, mimo skoków buntowniczych, w jałowej pracy dzielność swą marnować musi...

A drugi obraz: jak Lohengrin, na łódce, przez łabędzie Tęsknot wiekuiстых ciągnionej, przyplął do skały Kontemplacji, samotnie wśród wrzących dookoła odmetów żywota się wznoszącej. W dłoniach trzyma, miast gęśli lub liry, zaklętą w kształt harfy

eolskiej duszę własną — a cudowna tego narzędzia muzycznego siła! Tenże podmuch wichru, który gdzieś indziej w załomach skał jako wycie bezładne, w zarzewiały na dachu chorągiewce jak świst lub zgrzyt przeraźliwy się ozywa, tu wywołuje przenikające, tajemniczości bezdennej pełne dźwięki; tenże okrzyk szaleńcy czy rozpacz, który zazwyczaj dysonansem drażniącym ucho uderza, — przez harfę tę przebiegłszy, wyjawia ukryte na dnie pierwiastki wiekuiyste, które go z resztą głosów żywota harmonijnie wiążą. Niekiedy samotnik, pociągnięty przykładem ujeżdżającego na skrzydlatym żrebcu mistrza, rzuca swą pełną ech gędziebnych ustroń, dosiada Szemika, czeskiego brata Pegazów i Hippogryfów, i wichrem ugania przez bezgraniczną przestrzeń i czasów. Ale gdziekolwiek rumak ziemi dotknie, »z pod kopyt mu rozbrzmiewa, jakby drgnienie strun« (*Baśń o Szemiku we Freskach i Gobelinach*), a w brzmieniu tem wydźwięka gędziebna dusza oglądanych krajów czy epok, pejzażów czy uczuć ludzkich, zamętów elementarnych, czy starć namiętnościowych... Wszystko w około płacze, woła, śmieje się, jęczy, szaleje, grzmi, wzdycha, wszystko w harfianej duszy pustelnika harmonijnie się zlewa — i, jak ongi Plato ideową, tak dziś ten hierofant uczuć najtajniejszych gędziebną świata transpozycję stwarza. Z obu echo wieczności i nieskończoności pobrzmiwa...

*

Mimo olbrzymiej drogi, jaką przebiegł do dziś Vrchlicki, faz odrębnych w jego ewolucji nie naliczyć wiele. Indywidualność jego wyjawiała się prawie odrazu, ze wszystkimi cechami i właściwościami,

w treści równie jak w formie. Rozpoczął wprawdzie od — zwykłych u każdego wstępującego w świat poety — chwiejności pewnej, egotyzmu zbytniego, oraz hołdowania wzorom różnym i mistrzom, ale epokę tę reprezentują, z całej kolosalnej liczby jego utworów, właściwie jeden tylko liryczny zbiorek »Z głębin« i — po części — pierwszy cykl »Poematów epicznych«. I tu już znać odrazu łwie szpony wielkiego talentu, i tu już starsi, znakomici poeci czescy osłupiewali przed niektórymi ustępami, czując, że »powstaje mistrz, który genialną ręką dokona więcej, niż oni w najśmielszych przeczuwali marzeniach« (Świętopełk Czech o Jarosławie Vrchlickim w *Narodnich Listach* z 15 lutego r. b.). W liryce jednak — dość widoczne i częste są ślady wpływu romantyków francuskich i niemieckich, wielkiego pesymisty z Recanati, oraz poprzedników poety w kraju: Machy, Halka, Nerudy, Mayera i Szolca. Epika znowu — acz nie tak często — porzmięwa echemi i reminiscencjami z baladystów swojskich i obcych. Cały, wreszcie, zbiorek »Z głębin« tonie w pochmurnej atmosferze jakiegoś zbyt jednostronnego, zbyt osobistego zniechęcenia, które było — zda się — wynikiem ciężkich warunków życiowych młodego pieśniarza, ale, jako zbyt wczesne, zbyt uogólniające i — w konsekwencji — pewnej przesady nie pozbawione, świadczyło, bądź co bądź, o pewnej niedojrzałości i niezupełnem sobą owładnięciu.

W następnym zaraz zbiorze lirycznym: »Marzenia o szczęściu«, zarysowała się z całą odrębnością właściwa, szczerza, samodzielna fizyognomia duchowa poety — i od-tąd szafirowa struga uczuciowej, nastrojowej, kontemplacyjnej liryki, liryki instynktowych drgnień dusznych, liryki *intime*, *κατ' ἐξοχήν*, popłynęła nieprzerwanym nurtem, odbijając jasne błękity i chmury posępne, skwarne południa i noce gwiazdziste, wyschłe pustynie i wonnych lasów cienie. Tuż obok strugi tej wszakże wytrysł jednocześnie prawie i osobnem potoczył się łożyskiem strumień inny, strumień poezji refleksyjnej. Ton jego nie była już tak kryształowo czysta, mąciły ją piaski retoryki, filozoficznych i społecznych teoryj, a nadto oblicze poety nie zwierciadliło się tu z całkowitą wyrazistością; przesłaniał je poniekąd cień padający od postaci Wiktora Hugo, który tego specjalnie odgałęzienia w poezji Vrchlickiego w części mógłby się nazwać ojcem. I płynęły długo oba strumienie, to nurtem równoległym, to łącząc się

od czasu do czasu w prąd jeden i mieszając swe wody, to znów daleko, daleko, biegunowo się rozbiegając, — a dualizm ten stały, charakteryzujący aż po dni ostatnie twórczość poety, z jednej strony — wytworzył trzy jak gdyby grupy czy kategorie (liryki czysto uczuciowej, intuicyjnej, liryki refleksyjnej i liryki mieszanej), pod które dadzą się podciągnąć wszystkie zbiorki i cykle liryczne; z drugiej zaś — był, zwłaszcza co do poglądów na zadania poezji, poetów i stosunek ich do świata, powodem licznych, na pozór zasadniczych w jego księgach sprzeczności, które wszakże na podstawie dokładnego zrozumienia

wzajemnej między obu odgałęzieniami relacji, bez trudności wyjaśnić i usunąć się dają.

W ostatnich czasach — jak sądzić by można — dwoistość owa istnieć przestała. Poeta zamknął, zda się, ostatecznie szeregi cyklów liryczno-refleksyjnych i epiczno-historyzoficznych, w których, za przykładem Wiktora Hugo, próbował zawrzeć »legendę wieków«, czyli epopeję porywów i upadków ludzkości, — i oddał się czystej, indywidualności jego w całej pełni i głębi wydającej, liryce intuicyjnej. Obie ostatnio wyszłe książki: »Życie i śmierć« oraz »Moja sonata«, są w całości przedziwnymi klejnotami najszlachetniejszego liryzmu, ogarniającego wszystkie struny jestestwa i życia ludzkiego i z każdej wydobywającego dźwięk długi, przeciągły, aż gdzieś w najtajniejszych fibrach cichowo dobrzmiewający. Nadto bibliografia, podana w jubileuszowym numerze *Złotej Pragi*, mówi o leżących w rękopisie cyklach: »Okna podczas burzy«, »Wędrowki kró-

lewny Mab«, »Bukieci astrów«, »Metopy«. Z wyjątkiem ostatniego, na który złożyć się ma dwanaście większych poematów epicznych o symbolicznym odcieniu, — wszystkie inne, według ustnych wyjaśnień poety, zawierać będą jedynie lirykę. Z cyklu pierwszego, w którym poeta chce oddać cały szereg nader subtelnych odruchów duszy ludzkiej (odruchów podobnych drzeniu szyb okiennych podczas nawalnicy), — miałem sposobność poznać w rękopisie garść niedrukowanych nigdzie ustępów — i dotąd jestem pod wrażeniem tej czarownej, dziecięco świeżej, a zawrotnie głębokiej poezji. Może to początek nowego okresu, gdzie poeta, ostatecznie się w sobie posiadłszy i na dwie strony już się nie rozpraszając, w tym właśnie, najbardziej naturze jego odpowiadającym kierunku się skupi.

Podług platynotypii Juliusza Miena.



HENRYK SIENKIEWICZ.

Nowi Członkowie Akademii Umiejętności w Krakowie.



JÓZEF KALLENBACH.

PIOTR CHMIEŁOWSKI.

LUDWIK ÓWIKLIŃSKI.

ADAM MIODOŃSKI

LEON STERNBACH.

O słuszności przypuszczeń tych przyszłość rozstrzygnie. Oczekiwać od niej, w każdym razie, należy jeszcze bardzo wiele. Jakkolwiek czterdziestoletni dziś poeta uskarża się w »waryacjach na temat« tej doby żywota ludzkiego (*Capriccioso* w *Ostach z Parnasu*), że »w dłoni każde suszy nam kwiecie — czterdziestolecie« — odnieść to można poniekąd snadź do życia, lecz nigdy do poezji, zwłaszcza u takich, jak Vrchlickiego, wszystko z tajemnej głębi wewnętrznej mimowiednie, odruchowo czerpiących organizacyj. Właśnie, gdy żywość i pewna — bądź co bądź, w dobrem czy złem znaczeniu — brutalność wrażeń fizycznych osłabnie, dusze takie cofają się zazwyczaj coraz bardziej w głąb siebie, aż ku mistycznym gdzieś pograniczom, coraz subtelniejszym stają się podatne drgnięniom, coraz głębiej wstrząsającymi, bo aż do dna istoty ludzkiej sięgającymi wydziewkają tonami. Jeżeli dodamy do tego ogólny kierunek ducha epoki, niezadowolającego się już humanitarno-etycznymi palliatywami, wracającego (choć z innej może strony) ku porzuconym na pół wieku przeszło, dla widma faktów i doświadczeń, pryncypiom ogólnym umysłu i żądającego syntezy zmysłowości z zazmysłowością, która

(Dokończenie nastąpi).

dopiero wyjawia istotę bytu i człowieka; jeżeli nadto zwrócimy uwagę, iż tendencja ta specjalnie odbić się musi w poezji, będąc jeno uświadomieniem tego, co nieświadomie w największych poetach wszystkich wieków działało i o wielkości ich stanowiło, — pojąć będzie łatwo, dla czego działalności twórczej Vrchlickiego nie uważamy za zamkniętą i z ciekawością nateżoną w przyszłość patrzymy.

Gdybyśmy jednak mylili się nawet, gdyby wielki pieśniarz zmiłkł już teraz i zostawił światu to tylko, co po dziś w druku i rękopisach istnieje — w niczem by to na obniżenie jego znaczenia poetyckiego nie wpłynęło. Snadź ominęłyby nas różne przedziwne objawy genialnej koncentracji instynktu twórczego, różne olśniewające koncepcje i zawrotne rzuty oka w otchłań bytową — żadnej wszakże nowej, nieznanej nam dotąd strony jego ducha jużbyśmy — zda się — nie odkryli. Przewiewa on — cały, wszechstronny, granic nie znający — w dziełach do dziś ogłoszonych. Zanim przeto dalsze snopy z olbrzymiego żniwa dochoďte nas poczną, rozpatrzmy się w tem, co dziś każdemu dostępne.

ZENON PRZESMYCKI.

DOROCZNE POSIEDZENIE AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

Uroczysty akt, którym najwyższa nasza instytucja naukowa zamyka rokrocznie swą działalność, odbył się według przyjętego ceremoniału w wielkiej sali Akademii w dniu 10 b. m. Zjazd najwybitniejszych reprezentantów naszego świata naukowego, obecność najwyższych dostojników Kościoła i rządu, majestatyczna wreszcie powaga ceremoniału i całej uroczystości, świadczą, jak wybitną i ważną rolę odgrywa w stosunkach naszego życia Akademia umiejętności, owo najpoważniejsze ognisko wiedzy i światła, łączące cywilizacyjną i umysłową pracę naszego społeczeństwa z pracą innych narodów. Na uroczystość przybyli umyślnie ze Lwowa: Namiestnik hr. Badeni, wiceprezydent rady szkolnej Dr Bobrzyński, profesorowie Tadeusz Pilat i Wojciech Kętrzyński; z Wiednia: prof. Dr Edward Rittner; z Monasteru: Dr Władysław Ochenkowski — i w. i. W gronie miejscowych dostojników zajął miejsce J. E. Kardynał książę Albin Dunajewski, obok niego zaś osobistości należące do świata naukowego, oraz przedstawiciele władz.

Posiedzenie zagaikł zastępca Protektora Akademii, Dr Julian Dunajewski, przemówieniem, w którym, powołując się na skrzętną i skuteczną działalność Akademii w roku ubiegłym, z szczególniejszym zaznaczył naciskiem, i za wielką Akademii zasługę poczytał, iż w kierowaniu ruchem naukowym na pierwszym planie i w przeważnej części uwzględnia rzeczy ojczyście. Jako polska Akademia umiejętności, jako instytucja powołana do pośredniczenia pomiędzy nami a całym cywilizowanym i naukowym światem, spełnia ona w ten sposób najgodniej wzniosłe swe cele i zadania, przypominając w naukowych badaniach chwałę naszej przeszłości i tytuł do istnienia w przyszłości.

Żmudną tę drogę pracy i mozolnych naukowych usiłowań oświecają dwie pochodnie. Pierwszą z nich: religia, drugą córa Kościoła: nauka. W zdobywaniu na podstawie dawno uzbieranych skarbów nowych prawd i nowych zadań dla wiedzy leży cel usiłowań naszej naukowej instytucji, do którego ona dąży z cier-

pliwością i wytrwałością, i które jej pozwalają tak skutecznym i obfitym pracy swej cieszyć się wynikiem. Mowca przypomniał, że dzisiejsza uroczystość jest dwudziestą rocznicą pierwszego posiedzenia, powołanej do życia Akademii umiejętności. Ten znaczny okres czasu z chlubą pozwala Akademii spojrzeć wstecz, na przebieżoną drogę. W miarę sił i zasobów dopełniła ona wobec społeczeństwa naszego swoich obowiązków, dzięki energii i zabiegliwości swego dawnego prezesa Dra Józefa Majera. Dopełni również godnie za rządów dzisiejszych swych sterników. Piękną mowę zakończył Dr. Dunajewski życzeniem staropolskiem, w ręce prezesa Akademii złożonem: »Szczęść Boże na dalsze dwudziestolecie!«

Drugi z kolei przemawiał prezes Akademii Stanisław hr. Tarnowski. Nie mogąc dla szczupłości miejsca przytaczać tego przemówienia, ograniczyć się musimy do zaznaczenia, że było ono przypomnieniem programu i kierunku, jakiemu Akademia hołduje od chwili swego założenia, wierna tradycji i testamentowi, pozostawionemu przez niezapomnianych i nieodżałowanych pracowników, którzy byli niegdyś jej ozdobą i chlubą. W starszych, pierwotnych jeszcze, najzasłużeńszych Akademii członkach, w swoim wiceprotektorze i w długoletnim pierwszym prezesie — pierwszym z rzędu i z wartości — znajduje Akademia związek swoich początków z późniejszym rozwojem i żywych świadków tych zasad, na których się opiera, tych celów i dróg, do których i którymi ma dążyć.

Z odczytanego przez sekretarza jeneralnego Dra Stanisława Smolkę i drukiem ogłoszonego sprawozdania z czynności Akademii i poszczególnych jej wydziałów i komisij w roku ubiegłym, dowiedzieliśmy się, że ruch naukowy i wydawniczy w ostatnim roku wzniosł się znacznie. Świadczy o tem wymownie cyfra 20 tomów publikacyj naukowych Akademii, ogłoszonych drukiem w ciągu ostatniego roku, niezwykle ożywiona korespondencja naukowa z zagranicą, dla której stworzono biuletyny w języku francuzkim, stre-

szczające wyniki prac polskich uczonych, pomieszczanych w wydawnictwach Akademii. Sprawozdanie podnosi jako ważny i w dziejach Akademii zwrotny punkt: otwarcie stacyi naukowej w Paryżu, powołanej do życia na miejsce dawnego Towarzystwa historyczno-literackiego; po jej przyszłej działalności wiele dla nauki polskiej pożytku spodziewać się należy. Zakończenie sprawozdania mieściło ciepłe wspomnienia póstmiertne o zmarłych członkach Akademii: ś. p. Józefie Supińskim i Auguście Ottmarze Essenweinie, oraz członkach nadzwyczajnych: Stefanie Buszczyńskim i Władysławie Seredyńskim.

Nowymi członkami Akademii wybrani na posiedzeniu z dnia 9 maja b. r. zostali: Na wydziale filologicznym: członkiem czynnym zagranicznym Henryk Sienkiewicz; członkami korespondentami: Dr Piotr Chmielowski w Warszawie, prof. Dr Ludwik Ćwikliński we Lwowie, prof. Dr Józef Kallenbach we Fryburgu; prof. Dr Adam Miodoński w Krakowie i prof. Dr. Leon Sternbach w Krakowie. Na wydziale historyczno-filozoficznym na członków korespondentów: prof. Dr Władysław Abraham we Lwowie; prof. Dr Józef Kleczyński w Krakowie; Dr Maksymilian Perlbach w Halle; O. Paweł Pierling w Paryżu (Portret jego pomieści *Świat* w zeszycie następnym. *Przyp. Redakcyi*); Dr Antoni Prohaska we Lwowie; Dr Aleksander Semkowicz we Lwowie. Na wydziale matematyczno-przyrodniczym na członków czynnych krajowych: prof. Julian Niedźwiedzki we Lwowie, czł. kor.; prof. Dr August Witkowski w Krakowie, czł. kor. Na członków korespondentów: Dr. Ludwik Birkenmajer w Czernichowie; Samuel Dickstein w Warsza-

wie; Dr Władysław Natanson w Krakowie i Dr Adam Prażmowski w Krakowie.

Nagrody konkursowe z fundacyi ś. p. Probusa Barczewskiego, zostającej pod zarządem Akademii, otrzymali — Nagrodę literacką: Dr Władysław Abraham profesor prawa kanoniczego w Uniwersytecie lwowskim za książkę »Organizacya kościoła w Polsce do połowy XII wieku«. Nagrodę za dzieło sztuki: Piotr Stachiewicz za obrazy i kompozycje w ostatnich czasach wystawione, a w szczególności za obraz przedstawiający »Pogrzeb górnika«. Nagrodę konkursową imienia Dra Józefa Majera przyznała Akademia p. Maryanowi Raciborskiemu za książkę: »Flora kopalna ziem polskich«.

Na czas najbliższy ogłoszone zostały następujące konkursy zostające pod zarządem Akademii: 1) Konkurs z fundacyi ś. p. biskupa Adama Krasińskiego, z nagrodą 1200 złr. za prace naukowe drukowane lub niewydane, które przysłane będą w tym celu po dzień 31 grudnia 1894 r. 2) Konkurs imienia Niemcewicza za prace na temat: a) Plany wojny tureckiej Władysława IV i geneza wojen kozackich. Nagroda 1800 franków. Termin przedłużony do 16 lutego 1894 r. b) Parlamentaryzm polski do końca panowania Zygmunta I. Nagroda 2700 franków. Termin do 15 lutego 1895 r.

Dopełnieniem programu uroczystego posiedzenia Akademii było studjum Juliana Klaczki p. t. »Święty Franciszek z Asyżu i gotyka włoska«. Piękną tę pracę, która zarówno ze względu na treść i naukowe opracowanie, jak i formę wielce wykwintną, jest prawdziwą ozdobą szczupłej literatury z zakresu historii sztuki, odczytał w zastępstwie nieobecnego autora, prezes Akademii Stanisław hr. Tarnowski.

WŁADYSŁAW PROKESCH.



K R O N I K A.

* Dalszy ciąg artykułów: »Z dzisiejszej poezyi polskiej« i »Z teki mieszczanina polskiego«, znajdą czytelnicy nasi w następnym numerze *Świata*.

* Jan Matejko maluje obecnie kompozycję znacznych rozmiarów »Śluby Jana Kazimierza«, którą zamierza po ukończeniu wysłać na wystawę do Lwowa.

* Juliusz Kossak wykończy bardzo piękne kartony do pieśni legionów, którą w edycji wspólnie wydać ma lwowska firma H. Al-

tenberga. Każda ze strof, drogiej sercu polskiemu pieśni, ilustrowaną będzie osobną pełną charakteru kompozycją, godną znakomitego artysty.

* Zygmunt Ajdukiewicz wyjechał do Paryża.

* Za obraz, którego reprodukcję dajemy w dzisiejszym numerze *Świata*, a który zeszłej jesieni wystawiony był w Madrycie, otrzymał dziś Józef Brandt od hiszpańskiej królowej-rejentki order komandorski Izabelli katolickiej.

* Wiedeńska krytyka wraca jeszcze ciągle do P. Stachiewicza, wyrażając się nieustannie z wielkimi pochwałami o cyklu jego obrazów. *Extrablatt* twierdzi, że one tylko posiadają znamię wybitnej indywidualności. W obecnych nawet znakomite dzieła wydają się »utworami dawniej widzianymi«. *Presse*, po szerszej i wielce zaszczytnej ocenie, kończy w ten sposób: »Nie chcę mówić wcale o świetnej technice artysty, umiającego kilku tonami wyrazić wszystko, co chce, ani nawet o szlachetnej

Nowi Członkowie Akademii Umiejętności w Krakowie.



JÓZEF KLECZYŃSKI.

ALEKSANDER SEMKOWICZ.

ANTONI PROCHASKA.

WŁADYSŁAW ABRAHAM.

MAKSYMILIAN PERLBACH Z HALLE.

Nowi Członkowie Akademii Umiejętności w Krakowie.



AUGUST WITKOWSKI.

WŁADYSŁAW NATANSON.

SAMUEL DICKSTEIN.

JULIAN NIEDŹWIEDZKI.

LUDWIK BIRKENMAJER.

ADAM PRAŻMOWSKI.

piękności kompozycji, ale kładę nacisk na znajomość etnograficzną tego dzieła sztuki, w którym leży główne jego znaczenie. Zdaje się, że słyszemy zeń płynące tony pieśni słowiańskiej i że w obec nich ogarnie serca nasze słodka, łagodna melancholia słowiańskiej baśni. Wszystko co tu widzimy jest szczerze, prawdziwe, typowe, znamienne, dla tego też uważamy kreację za stworzoną przez sztukę w celu uosobienia społeczeństwa w tym pomniku. Musi być wielkim i szlachetnym artystą, który z taką miłością i tak głęboko odczuł duszę ludu. — W telegraficznym sprawozdaniu, jakie *Neue fr. Presse* otrzymała o *salonie* paryskim, znajdujemy: »najlepsze portrety na całej wystawie są Polaka Pochwalskiego, przedstawiające postacie hr. Dzieduszyckiego i p. Burzyńskiego«.

* Korespondent paryski *Świata* donosi nam: »W tegorocznym *salonie* na Polach Elizejskich znajdujemy dwa obrazy *M. Reynera*: jeden jest portretem słynnego podróżnika Jana Dybowskiego, drugi pastelem, wyobrażającym młodą nagą kobietę, leżącą na trawie i przeglądającą się z zalotnością w zwierciadle strumyka. Stroi ona główkę w lilie wodne. Wizerunek Dybowskiego, przedstawia go nam w naturalnej wielkości, siedzącego pod namiotem. W okóło energicznej i sympatycznej postaci widzimy porozrzucone przedmioty rozmaite, odnoszące się do jego wyprawy afrykańskiej. Cały obraz trzymany w tonach bardzo jasnych, jest wedle sądu wytrawnych znawców najlepszym utworem wymienionego artysty. Zarząd *salonu* umieścił go w korzystnym i honorowym miejscu, a krytyka francuska wyraża się o nim bardzo pochlebnie. — Uwagę ogólną zwracają na siebie dwa wymienione, znane wam (Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego i Stanisława Burzyńskiego) portrety, *K. Pochwalskiego*. Należą one do najlepszych w tegorocznym *salonie*, pomimo, że mroczą się kolorytem zbyt ciemnym, który tu we Francji nie ma miru obecnie. Krytyka jednakże niezmiennie zaszczytnie oceniła te dwa znakomite płótna, — co zresztą jest zupełnie słusznem. — Rozgłoszenie znanej, nieodżałowanej malarki naszej, ś. p. *Anny Bilińskiej*, portret młodej damy w czarnym stroju, odznacza się wielką dystynkcyą i niepospolitą wiedzą malarską. W kolonii artystycznej tuższej wszyscy o zmarłej z żalem i smutkiem wspominają. — Nadto spostrzegamy jeszcze na ścianach *salonu*: mały rodzajowy obrazek (chata bretońska) *Toljanskiego*, dwa portrety *Smolskiego*, studium panny *Biernackiej*, pastel panny *Podlewskiej* — i na tem koniec. Te tylko nazwiska wyczerpują szczupły zastęp malarzy polskich, których prace znalazły się w *salonie* na Polach Elizejskich. Niezwykła srogość tegorocznego jury w ocenianiu obrazów, zdawia dla przyjętych i wystawionych zaszczyt honorowego wyróżnienia. Z rzeźbiarzy Polaków znalazły się tu dzieła: *Cypriana Godebskiego*, dwa popiersia; *Szczepana Bogdańskiego*, biust z brązu; *Henryka Kossowskiego*, dwie statuy spiżowe. — Dowiaduję się, że przesłany rysunek A. Grottgiera, jeden z najcudniejszych, jakie wielki mistrz stworzył, własność Wł. barona Heflera — którego reprodukcja pomieszczona była w *Świecie* w 1888 roku p. t. »Przed pojedynkiem«, chociaż właściwem dlań mianem byłoby istotnie »*Rok 1831 i 1863*« — kupiła pani Leopoldowa Kronenbergowa (matka). — Donoszą mi w ostatniej chwili, że K. Pochwalski otrzyma medal pierwszej klasy. Będzie to zupełnie zasłużone wynagrodzenie«.

* Pochwalski wystawił w *salonie* paryskim dwa portrety, które krytyka miejscowa bardzo pochlebnie oceniła. *Figaro* w przeglądzie obrazów skreślonym *à vol d'oiseau* twierdzi, że nazwisko Pochwalskiego, będzie jutro sławnem w Paryżu. *L'Illustration* pisze: »P. Pochwal-

ski wystawił dwa bardzo znakomite portrety osobistości rosyjskich. (Gdzie ci Francuzi nie widzą obecnie Moskali!?) Portrety te przewyższają swoją artystyczną wartością dzieła Pilotyego i Angelego«. W *Journal des Débats* znakomity krytyk p. André Michel tak się wyraża o naszym artyście: »Patrzcie na piękny portret hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, wystawiony przez malarza z Krakowa p. Kazimierza Pochwalskiego, z którym spotykam się po raz pierwszy. Siła, stanowczość, wyrazistość, charakterystyka postaci, prostota i wdzięk faktury, wszystko to się mieści w tym portrecie; to człowiek, dusza, rasa, którą się odgaduje i znajduje w tym tłusto malowanym i ciemnym obrazie«. W wymienionym już *Figarze* Karol Yriarte pisze co następuje: »Nie my sami chyba nazwiemy p. Pochwalskiego portrecistą zupełnie wyjątkowym (*hors ligne*). Jego model, p. Stanisław Burzyński jest typem słowiańskim, silnie akcentowanym: człowiek massywny, potężny, bardzo wysoki, silnie osadzony na nogach, ubrany czarno. Głowa jest cudem (*merveille*) sztuki malowania i wykonania; jest to dzieło bardzo daleko idące. Akcent ogólny wydaje się umiarkowanym, gamma ciemna, a pewne wrażenie smutku zdradza pochodzenie malarza i modelu; ale artysta umie być bardziej ożywiony i świetny, bo takim okazuje się w portrecie hr. W. Dzieduszyckiego«.

* Trzy świetne, wielce zajmujące i bardzo piękne odczyty wypowiedział prof. Morawski o cesarzu Hadryanie, wobec licznie gromadzącej się na każdą prelekcję publiczności.

* Dnia 11 b. m. odbył się w kaplicy księcia kardynała Dunajewskiego — pobłogosławiony przez JEgo Eminencyę — ślub panny Zofii Estreicherówny-Rozbierskiej, córki wielce zasłużonego bibliografa i historyka teatrów polskich Karola Estreichera-Rozbierskiego, z p. D-rem Ignacym Rosnerem, współredaktorem *Czasu*, synem Dra Antoniego Rosnera, profesora uniwersytetu Jagiellońskiego. Przesyłamy z naszej strony młodej parze życzenia szczęścia.

* Henryk Sienkiewicz przybył do Krakowa.

* Maryan Gawalewicz, goszczący w mieście naszym od dni kilku, kończy tu najświętszą swoją pracę, za tło której służy mu »*Legendy o N. Maryi P.*« Piotra Stachewicza.

* Adam Müncheimer, bawił w Krakowie dzień jeden.

* Michał Wołowski, gości w Krakowie od dni kilku.

* Koncert panny Maryi Wąsowskiej i pani Heleny Weychertowej, dany w sali hotelu Saskiego, zapoznał naszą publiczność muzyczną z artystkami utalentowanymi i interesującymi. P. Wąsowska jest fortepianistką, posiadającą już obecnie wielce wysoko wyrobioną technikę, szczególnie w prawej ręce, pewien spokój, przy którym panować może nad instrumentem i właściwe zrozumienie dzieł mistrzów (osobliwie w szczegółach) przez nią wykonywanych. P. Weychertowa jest śpiewaczką z dobrej szkoły, używa głosu umiejętnie, interpretując każdy utwór w właściwym stylu i z niezaprzeczonym smakiem.

* Akademia artystyczna, naukowa i literacka »*Hainaut*« w la Louvière, w Belgii, mianowała Adama Müncheimera swoim członkiem honorowym, przyznając mu zarazem medal pierwszej klasy. Portret naszego kompozytora ma być umieszczony w biuletynie urzędowym wymienionej instytucji.

* Powodzenie najnowszej dramaty K. Zalewskiego »*Prawa serca*«, przedstawianego obecnie na scenie Teatru Rozmaitości w Warszawie, rośnie i wzmacnia się z dniem każdym.

* W jednoaktowym dramacie Coppégo »*Ojciec nasz*«, wystąpiła po raz pierwszy panna Jadwiga Szwenik, posiadająca głos dzwiczny, postawę sceniczną i twarz pełną wyrazu. Występ w bardzo trudnej roli — z którą zale-

dwie skończona i to znakomita artystka mierzyć się jest w stanie — nie może być kamieniem probierczym przy ocenie zdolności debutantki. Z przyjemnością jednak już obecnie zaznaczyć możemy, że p. S. wykazała pewną samodzielność w pojęciu charakteru przedstawianej postaci i że nie naśladowała nikogo w dykcji i poruszeniach, wcale swobodnych i naturalnych. — Sztuka Zygmunta Przybylskiego »*Wejście w świat*«, niekonsekwentna w założeniu, niekonsekwentniejsza w rozwinięciu, wahająca się pomiędzy farsą i komedią, nie czyniąca zadość warunkom ani pierwszego ani drugiego scenicznego rodzaju — nie mogła u nas zdobyć powodzenia, pomimo doskonałej gry artystów. Młody autor, który w »*Wicku i Wacku*« wykazał w tworzeniu typowych postaci z wiejskiego świata talent niemały, po swym pierwszym tryumfie, raz tylko wzniósł się do jego wysokości w komedii »*Państwo Wackowie*«, gdzie w innem oświetleniu przedstawił te same typy. Następnie pisał i pisze zbyt pośpiesznie, a pośpiech w twórczości dramatycznej rzadko kiedy wydaje pomyślne rezultaty. Szkoda; — bo p. Z. Przybylski przy pracy, mógłby stać się siłą wielce pożyteczną w teatrach polskich. Powiedzieliśmy już, że artyści nasi z zapałem i życzliwością starali się »*Wejście w świat*« utrzymać, a chociaż tego nie dokazali, należy się im za ich usiłowania zasłużone uznanie. P. Solski wykonał główną rolę przedziwnie, z głębokim uczuciem. Panna Trapszówna wlała w postać przez siebie przedstawianą dużo wdzięku i szczerości, zdołała nadto swoją doskonałą kreację szczegółami bardzo oryginalnie obmyślanymi. Pani Wojnowska była przepyszną; humor jej rozjaśniał i ogrzewał sztukę. P. Siemaszko zaznaczył wybornie charakterystyczne cechy typowej figury warszawskiej. Całość szła składnie i zreżymie, a wszyscy aktorowie bez wyjątku — z p. Wernerem i panią Wolską na czele spełnili powinność swoją starannie i umiejętnie. — Dwukrotnie scena nasza przedstawiła, przed »*Rozbitkami*« i »*Panem Damazym*«, prolog wierszem napisany przez p. Lucyana Rydla na cześć ś. p. Józefa Bliżńskiego. Utwór ten, bardzo piękny, przy portrecie znakomitego komedyopisarza, w otoczeniu całego personelu teatralnego, ze wzruszeniem wygłosili: pani Siemaszkowa i p. Rygier. Rozrzewniona do łez publiczność, grzmiącymi oklaskami wyrażała swą cześć dla zmarłego autora »*Dzkiej różyczki*«, a wdzięczność młodemu poecie i wykonawcom, że go uczcili tak właściwie i szlachetnie. — W całym szeregu dzieł genialnych lub wybitnych wystąpił gościnnie p. Roman Żelazowski, na scenie naszej w ciągu upłynionych dwóch tygodni. Wiadzieliśmy go w »*Rozbitkach*«, »*Panu Damazym*«, »*Urielu Acoście*«, »*Otellu*«, »*Wilhelmie Tellu*«, »*Oj mężczyźni, mężczyźni!*«, »*Honorze*«, »*Zbójcach*«, a zobaczymy go jeszcze w »*Właścicielu Kuźnicy*«. Kreacje te wielce utalentowanego artysty dramatycznego omawialiśmy już nieraz, powrócimy do nich jednakże wkrótce w artykule, zdającym sprawę z tegorocznego repertuaru i działalności teatru krakowskiego, który przyozdobimy ilustracyami, a między niemi będą także portrety R. Żelazowskiego w głównych jego rolach, którymi przyciągał naszą publiczność do widowni, wynagradzany za nie oznakami uznania i sympatii.

* P. Wiktor Barabasz, zasłużony dyrektor krakowskiego Towarzystwa muzycznego, otworzył przy ulicy Floryańskiej l. 6, skład fortepianów, w którym znajdują się instrumenty pierwszorzędných fabryk zagranicznych, a między niemi i amerykańskie, tak mało dotąd w kraju naszym rozpowszechnione, a odznaczające się znakomitemi zaletami tonu i trwałości.

* Pragska *Politik* drukuje w fejetonie swoim studium H. Monata p. t.: »*Die Polnische*

Beatrice, osnute na tle dzieła St. hr. Tarnowskiego, ocenę którego — pióra Stanisława Estreichera — pomieściliśmy w pierwszych zeszytach *Świata* z b. roku.

* Dnia 20 kwietnia b. r. odbyło się posiedzenie komisji historii sztuki w Akademii umiejętności pod przewodnictwem prof. Dra Maryana Sokołowskiego. Prof. Wł. Łuszczkiewicz odczytał rozprawę p. t.: »W sprawie dat zabytków architektury w Polsce epoki stylu przechodowego w renesans«. Prof. S. Odrzywolski złożył szczegółowe plany i zdjęcia wspaniałego renesansowego zamku w Baranowie nad Wisłą. Gmach ten zbudowany został przez Andrzeja z Leszna Leszczyńskiego, wojewodę dorpacckiego i brzesko-kujawskiego pomiędzy r. 1579 a 1602. Ma kształt wydłużonego prostokąta z wielkim dziedzińcem, otoczonym gankami w dwu kondygnacjach i czterema występującymi okragłymi basztami na węglach. Wejście przez wieżę kwadratową od frontu. W XVII w. dobudowano attykę i nowe skrzydło, bogato wewnątrz stiukiem dekorowane, wciskając je pomiędzy dwie baszty na lewo od wejścia. Szczególne bogactwo fantazyi rozwinął architekt XVI wieku w licznych kamiennych obramieniach drzwi, wychodzących na ganki i w maskach zdobiących cokoly dolnych kolumn dziedzińca. P. Odrzywolski dostrzega pewne pokrewieństwo tych ozdób z kilku zabytkami w Krakowie, które są dziełem Gabryela Słońskiego, tudzież z kaplicą Firlejów w Bejskach. Pomimo pożaru, któremu zamek Baranowski uległ w połowie bieżącego stulecia i który poniszczył dawne stropy drewniane, dochował się ten ważny zbytek architektury stosunkowo wcale dobrze, a od czasu gdy dostał w ręce obecnego właściciela p. St. Dolańskiego, który umie ocenić wysoką wartość znakomitego pomnika, doznaje troskliwej opieki. W dyskusji prof. Sokołowski wskazał na pewne analogie między zamkami w Baranowie i Krasiczynie, zaś prof. Łuszczkiewicz zwrócił uwagę, że zamek w Baranowie, nie mając charakteru fortecznego, przedstawia podobny typ dworu obronnego, jaki widzimy w Dębnie, Jeżowie, Symbarku i t. p. Prof. Łuszczkiewicz złożył list hr. B. Starzyńskiego z Nicei, w którym tenże zwraca uwagę komisji na ozdobny kirys z herbami, przypisywany królowi Zygmuntowi I, przechowany obecnie w muzeum artylerji w Paryżu. Komisja uchwaliła zasięgnąć bliższych wyjaśnień o tym zabytku za pośrednictwem akademickiej stacji naukowej w Paryżu. Prof. Sokołowski złożył srebrny sygnet pieczętny (contrasigillum) XIV w. z napisem: *S. Secreti mei Ave*, znaleziony na cmentarzu kościelnym w okolicach Warszawy, który należy do wielkich rzadkości i dla charakterystycznej swej formy publikowany będzie w *Sprawozdaniach*.

* Dziennik *Piccolo della Ferra* zamieścił w tłumaczeniu włoskiem powieść J. I. Kraszewskiego »Ostrożnie z ogniem«. »Szary wilk« A. Krechowieckiego wychodzi w przekładzie w tygodniku serbskim *Stražilovo*. »Uskoki« T. T. Jeża zostały przetłumaczone na język serbski. »A. B. C.« E. Orzeszkowej i »Emilia Plater« M. Wyslouchowej, wyszły po czesku. *Dilo lwowskie* zamieściło następujące w przekładzie rusińskim utwory literatury naszej: »Dzień św. Mikołaja« Nestorowicza, »Wilia« W. Kosiakiewicza, »Wydzieńdżony« J. Zacharjasiewicz, »Chochlik psotnik« E. Orzeszkowej i »Emigracja w świetle statystyki« T. Pilata. Oprócz tego w »Bibliotece najznakomitszych powieści« wychodzi »Pan hetman Mazepa« F. Rawity (Gawrońskiego). Lwowska *Narodna Czasopys* podała G. Uziębły »Dziada Onufrego«, J. I. Kraszewskiego »Jarynę«, Brandowskiego »Szlachcica i cyrulika«, H. Sienkiewicza »Z puszczy białowieskiej«, M. Rodziewiczównę »Wiatrak« i »Złotą wolę«. *Rus-*

skija Wiedomosti wydrukowały »Chwilę słabości« Jana Żuka i »Szymkową etykę« J. Rutkowskiego, »Srula z Lubartowa« A. Szymańskiego, »Siteczko« E. Orzeszkowej i »Chawę Rubin« A. Świętochowskiego. *Kolasja* podają »Małaszkę« G. Zapolskiej. *Wiestnik Jewropy* zamieszcza »Dwa bieguny« E. Orzeszkowej, a *Mir Bożij* »Autobiografię« tejże autorki i »Srula z Lubartowa« A. Szymańskiego. »Pójdźmy za Nim« H. Sienkiewicza wydrukowane poprzednio w *Russkoj Mysli*, powtórzone zostało w tygodniku obrazkowym *Żiwopisnoje Obozrienje*. W czwartym i piątym tomiku »Biblioteki Słowiańskiej«, wydawanej w Petersburgu, znajdujemy »Czarownicę« i »Chłopskiego adwokata« E. Orzeszkowej. *Siewier* dał przekład »Kamizelki« B. Prusa. W Kazaniu wyszło »Pszczelnictwo« Ciesielskiego, w Charkowie dziełko ludowe Olszewskiego »Drogi żelazne«, w Petersburgu (nakładem Pawlenkowa) »Praca i kapitał« Świderskiego, — wszystko w przekładach rosyjskich.

* Wkrótce ukazą się na widok publiczny pamiątki wielkiego malarza francuskiego E. Delacroix, obejmujące epokę od 1823 aż do roku 1863. *Revue des deux mondes* zamieszcza zajmujące wyjątki z tych pamiątek, w których spotykamy kilka nazwisk polskich; między innemi znajduje się tam ustęp kreślony w kwietniu 1853, a poświęcony Rodakowskiemu. Oto co pisze Delacroix: »Wyszedłem dzisiaj wcześniej, aby odwiedzić kilku artystów, którzy mnie o to prosili; ileż smutnych ran, ileż nieuleczalnych chorób umysłowych! Miałem tylko za to jedną nagrodę, ale ta była zupełną: widziałem bowiem prawdziwe arcydzieło, mianowicie portret Rodakowskiego, przedstawiający jego matkę. Obraz ten wzmacnia wrażenie poprzedniego portretu, który mnie tak uderzył na ostatniej wystawie«. Mowa tutaj o pięknym portrecie generała Dembińskiego, który Rodakowski wystawił w *salonie* w roku 1852. Wizerunek ten, dzięki p. Osławskiemu, stał się własnością Muzeum narodowego w Krakowie.

BIBLIOGRAFIA.

Karol Gide, profesor w Montpellier. »Zasady ekonomii społecznej«, z oryginału francuskiego przełożyli: St. Bartynowski, A. Krzyżanowski, I. Makarewicz i K. Midowicz, pod kierunkiem redakcyjnym Dra Juliusza Leo, prof. Uniw. Jagiel. — Kraków, Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej, 1893, str. 511 i XII.

W całej europejskiej literaturze ekonomicznej nie ma dzieła, któreby początkujących lepiej wprowadzało w dziedziny ekonomii społecznej. Gide jest wybitnym członkiem opozycji, jaka we Francji niedawno powstała przeciwko wszechwładnie dotąd panującemu w niej liberalizmowi i ścisłej teorii w ekonomii politycznej. Jasność i przejrzystość wykładu, jego lekkość i przystępność, a przytem gruntowność, oto cechy, któremi się odznacza dzieło Francuza, wykształconego na pracach niemieckich. Należy się szczerza wdzięczność tłumaczom i wydawnictwu za przyswojenie tego dzieła literaturze polskiej. Tłumaczenie jest w ogóle dobre i bardzo staranne. Szkoda tylko, że kierunek redakcyjny nie uważał za główne swoje zadanie opatrzenia dzieła dopiskami z naszych stosunków. Dzieło zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie nie tylko między młodością, ale i między szerszą publicznością, jeżeli dla niej w kwestiach społecznych dzienniki nie mają być ostatnią wyrocznią.

J. N. Sadowski. — »Miecz koronacyjny polski «Szczerecem» zwany«. — Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1892 — in 8^o, str. 60.

Nowa ta praca jednego z najwytrawniejszych naszych badaczy zainteresuje zapewne szerokie koła czytelników. Przypomnijmy sobie, jak

żywa toczyła się polemika po wystawie paryskiej r. 1878, czy wystawiony tam w zbiorach Bazylewskiego »Szczerebec« jest autentycznym. Od tej też kwestji rozpoczyna autor swą pracę i stwierdza w pierwszej części, że to niewątpliwie rzeczywiście był miecz koronacyjny naszych królów. W drugiej części roztrząsa z największą ścisłością metodyczną pytania, do jakiej epoki należy wyrób miecza, kiedy, gdzie i dla kogo pierwotnie go zrobiono, jakie przechodził koleje, zanim się w pierwszej połowie XIV wieku dostał do skarbcza koronnego i co dało powód do nadania mu legendowej nazwy Szczerebca, a w wywodach swych opiera się na historii broni siecznej, na znaczeniu emblematów miecza, na stylistycznych, technicznych i paleograficznych znamionach jego, tudzież na treści tak istniejących dotąd napisów, jakoteż tych, które zatarły się wprawdzie, ale z innych wiarogodnych źródeł odtworzyć się dadzą. Rezultaty badań są następujące: Miecz ten jest wyrobem artystycznej szkoły niemieckiej z początku XIII wieku, zrobiony dla któregoś Krzyżaka pomiędzy rokiem 1214 a 1219. W r. 1242 nabył go od Krzyżaków Bolesław Mazowiecki, syn Konrada i kazał na nim umieścić napis, w którym sam siebie nazywa książęciem »polskim, mazowieckim i łączyskim«, a co autor uważa za godło programu politycznego dążącego do odzyskania praw do reszty ziem polskich, nie tracąc praw do Mazowsza i Kujaw, a której to polityki trzymają się odtąd wszyscy Konradowicze. Spadkobiercy Bolesława postępowali też w myśl znaczenia tytułów umieszczonych na mieczu, a kiedy zadanie to spełnił ostatecznie Władysław Łokietek, złożył miecz swój, przypięty do boku w czasie koronacji, jako koronacyjny w skarbcu królewskim. Ludwik węgierski uwiózł go następnie na Węgry wraz z innemi insygniami koronnemi, a zwrócił go cesarz Zygmunt; podczas najazdu szwedzkiego schował go i od rabunku ochronił podskarbi koronny Maksymilian Ossoliński. W r. 1795 zniknął ze skarbcza na Wawelu; w r. 1819 przywiózł go Łabanow do Warszawy, został następnie nabyty przez Demidowa do zbiorów w San Donato; w r. 1878 pojawia się już jako własność Bazylewskiego na wystawie paryskiej, z kądem zakupiony wraz z całym Bazylewskiego zbiorem, przechodzi do Ermitażu petersburskiego. Kopia znajdująca się w gabinecie archeologicznym uniwersytetu Jagiellońskiego jest zrobiona pomiędzy r. 1795 a 1819 i to przez tego samego artystę, który przerabiał boczne części Szczerebca dla zatarcia śladów kradzieży; ponieważ kopię tę nabyto w Dreźnie, więc prawdopodobnie i oryginał znajdował się od r. 1795 do 1819 w Niemczech. Podziwiać należy autora, jak każdą drobnostkę umie wyzyskać, jak najmniejszy ślad wystarcza mu, aby dotrzeć do prawdy; jest to w swoim rodzaju istne arcydzieło krytyki, godne cnego autora »Drog handlowych fenickich i greckich«, który każdą swą pracę prawdziwą zaszczyt przynosi polskiej nauce. Lektura tej książki jest przytem wielce interesująca, utrzymująca czytelnika w stałym napięciu uwagi; dwie tablice i 12 rycin w tekście ułatwiają zrozumienie najbardziej nawet specjalnych szczegółów.

»Po ciemku«. — Powieść Teodora Tomasza Jeża. — Kraków. L. Zwoliński i Spółka. 1893.

Jest to niedługie ale interesujące opowiadanie utalentowanego powieściopisarza, osnute prawdopodobnie na kanwie dawnych wspomnień.

»Narodowość - rasa«. (Słowiaństwo - Panslawizm) napisał Józef Popowski. — W Krakowie. Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej. 1893.

W broszurze tej ściśle i jasne rozumowanie opiera się przeważnie na fundamencie rosyjskich źródeł. Polecamy ją bacznej uwadze czy-

techników naszych, jako rzecz wartościową i na dobie.

»Albania«. — Zarysy etnograficzne, kulturalne i religijne. — Skreślił ks. Marcin Czerwiński T. J. — Wydanie ilustrowane. — W Krakowie. Nakładem *Missyj katolickich*. 1893.

Książka ta, bardzo zajmująca, o mało znanej nam Albanii, napisana sumiennie i zdrowym, czystym językiem, mieści w sobie: rzut oka na geografję kraju i jego dzieje, opis zwyczajów i obyczajów albańskich, charakterystykę organizacji społecznej, historię Kościoła w ogólności, oraz w każdej diecezyi, wreszcie wielce interesującą relację o apostołskiej pracy tamtejszych misjonarzy, nawet w okolicach najbardziej górzystych. Dużo tu spostrzeżeń oryginalnych, własnych, z pierwszej ręki, autor bowiem w celu napisania swej książki nietylko zapoznał się dokładnie z drukowanymi i rękopiśmiennymi (»Historia seminaryum albańskiego w Skodrze« przez O. Vasilicó) źródłami, ale sam odbył podróż po Albanii i na miejscu zbierał materiały do swej cennej pracy. Wydawnictwo dopełnione jest ilustracyami, które — chociaż nieartyistyczne — mają cechę jednak wiernych dokumentów obrazowych i życiowych. Wykonane są — o ile nam się zdaje — z fotografij, zdejmowanych z natury.

Tomasz B. Macaulay. — »Szkice i rozprawy«. Tłumaczył St. Tarnowski. — Tom pierwszy. — W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki wydawniczej polskiej. 1892.

Tom ten mieści cztery *essays* słynnego i znakomitego historyka angielskiego w starannym i wytwornym przekładzie. Tylokrotnie omawiane przez europejską krytykę, nie potrzebują pośpiesznej, zwięzłej, właściwej charakterowi tej rubryki oceny. Zaznaczamy tu zatem tylko ich tytuły: »Fryderyk Wielki«, »Bertrand Barère«, »Wiliam Pitt hrabia Chatham« i »Lord Chatham«. Nie wątpimy, że czytająca publiczność oczekiwac będzie z niecierpliwością na tom następny.

NEKROLOGIA.

* Ciężką stratę poniosła polska literatura dramatyczna; w d. 29 kwietnia o godzinie 6 minut 50 zrana w Krakowie, oddał Bogu ducha Józef Bliziński, najznakomitszy z współczesnych komedyopisarzy polskich. *Świat* nasz stracił w nim długoletniego serdecznego przyjaciela i współpracownika, społeczeństwo zacnego i szlachetnego człowieka, teatr wielkiego komedyopisarza. Żal zbyt dojmujący, głęboki i świeży nie pozwala nam kreślić dziś obszernego nekrologicznego wspomnienia; pomieścimy wkrótce w piśmie naszym studium oceniające jego nieśmiertelne dzieła, a przy nich zarysuje się wyraźnie i postać autora »Pana Damazego«. Obecnie wspomnimy tylko, że tak cały kraj, jak cała Polska, odczuła głęboko tę niepowetowaną stratę. Przodownicy dziennikarstwa i literatury, reprezentanci teatrów polskich i liczni przyjaciele ze wszystkich zakątków naszej rozległej ojczyzny, nadesłali wyrazy współczucia i smutku pozostałej po nim zacnej wdowie, która do ostatniej chwili otaczała ukochanego męża czułą troskliwością, a obecnie w cichej rozpaczce nosi po nim żałobę. Pogrzeb zwłok znakomitego komedyopisarza odbył się uroczysto w d. 4 maja. Był on wymownym dowodem powszechnego żalu. Wzięli w nim udział reprezentanci duchowieństwa krakowskiego, najwyż-

szych instytucyj krajowych i miejskich, literaci, dziennikarze, artyści dramatyczni, przedstawiciele wszystkich stanów. Trumnę literalnie zasypano wienkami z wawrzynów i kwieci, które nieboszczyk tak bardzo lubił. Przy wyniesieniu jej z domu żałoby (ul. Karmelicka 15) przemawiali z głębokim rozrzwaniem: Michał Bałucki i Maryan Gawalewicz; na cmentarzu zaś przed spuszczeniem czarnej skrzyni z doczesnymi szczątkami J. Blizińskiego do grobu — ofiarowanego mu na wieczne czasy przez gród nasz stary — pożegnali go wyrazami miłości i czci: Zygmunt Sarnecki, Edmund Rygier, artysta dramatyczny teatru krakowskiego i Dr Ignacy Rosner, znany krytyk, współredaktor *Czasu*. Nie wątpimy, że wkrótce nad mogiłą twórcy »Rozbitków« dłonie przyjaciół wzniosą pomnik, który zwiedzającym miasto umarłych, przypominać będzie jego piękne i szlachetne rysy, bo pamięć o utworach



LOTAR DARGUN.

Józefa Blizińskiego w umysłach i sercach rodaków nie zatrze się nigdy.

* W dniu 29 kwietnia zmarł w Krakowie Lotar Dargun, doktor praw i filozofii, dziekan wydziału prawa i administracji na uniwersytecie Jagiellońskim, profesor zwyczajny prawa niemieckiego, członek komisji historycznej i prawniczej Akademii umiejętności. Urodził się d. 7 października 1853 r. w Opawie na Śląsku austriackim. Z wybitniejszych prac naukowych nieboszczyka wymienić należy: »O pokrewieństwie przez same tylko matki u dawnych Germanów«, »O początkach prawa spadkowego«, »O pierwotnych formach własności«, »Prawo frankońskie i prawo światowe«, »O zabezpieczeniu robotników od wypadków«, »O zastosowaniu etnografii do historii prawa«, »König Heirich VII«, »Zum Problem des Ursprungs der Ehes«, »Mutterrecht und Erbehe«, »Ursprung und Entwicklungsgeschichte des Eigentums«, »Egoismus und Al-

truismus in der National-Oeonomie«, nadto drukował w najpoważniejszych fachowych czasopismach niemieckich i polskich mnóstwo mniejszych artykułów i recenzji, był współpracownikiem dotąd nieukończonego dzieła »Handwörterbuch der Staatswissenschaften« wydawanego przez grono uczonych niemieckich, oraz peryodycznego wydawnictwa *Centralblatt f. Rechtswissenschaft*, ukazującego się na widok publiczny w Stuttgarcie, w którym stale zdawał sprawę z publikacją na polu historii prawa niemieckiego. Nieobliczoną jest strata, jaką wiedza polska ponosi przez śmierć Lotara Darguna. Zrobił dużo, bardzo dużo — a jeszcze więcej zrobić obiecywał. Chociaż pochodził z rodziny niemieckiej, kochał ojczyznę naszą całą duszą. Obdarzony wielkiem poczuciem piękna, gorąco miłował sztukę, teatr i literaturę, a chociaż poświęcał się tylko specjalnym naukowym studjom, zajmował się jednak bardzo żywo ruchem artystycznym i literackim; znał piśmiennictwo polskie wybornie i bardzo właściwie plody jego oceniał. Śmierć wyrwała z pośród nas dzielnego i serdecznego człowieka, wielkiego uczonego, pisarza niepospolitej miary, znakomitego profesora, zacnego i prawego obywatela. Cześć jego pamięci! Dajemy w dzisiejszym zeszycie *Świata* portret nieboszczyka, nakreślony przez utalentowanego artystę Henryka Dyrdonia, według najświeższego zdjęcia fotograficznego, dokonanego na kilka dni przed zgonem nieodżałowanego Lotara Darguna.

* W d. 6 maja w Krakowie, po długich cierpieniach zakończył życie jeden z najznakomitszych rzeźbiarzy naszych, Marceli Guyski, człowiek wielkiej szlachetności uczuć, artysta w każdym calu. Ukraińiec rodem, kochał Ukrainę i Polskę namiętnie. Słynął jako nieporównany portrecista. Wizerunkowe popiersia i medaliony jego z marmuru współzawodniczyć mogą z najcenniejszymi tego rodzaju dziełami najznakomitszych mistrzów europejskich. Zgon jego jest ciężkim ciosem dla sztuki polskiej. W jednym z przyszłych numerów *Świata* pomieścimy ocenę działalności Guyskiego, wraz z jego portretem.

* W Anglii, w hrabstwie Lancaster, w pobliżu miasta Stockport, zmarła Izabela ze Szupskich Young. Przetłoczyła na język angielski kilka powieści J. I. Kraszewskiego, Elizy Orzeszkowej i nowelę H. Sienkiewicza »Pójdźmy za nim«.

* W Paryżu zmarł 27 kwietnia Karol de Mazade, członek Akademii francuskiej, jeden z najznakomitszych publicystów paryskich, przyjaciel osobisty Juliana Klaczki i wielu Polaków. Prace jego pomieszczała głównie *Revue des deux mondes*. W epoce bezpośrednio poprzedzającej powstanie z 1863 roku wydał bardzo interesującą książkę o margrabi Wielopolskim i o Andrzeju hr. Zamoyskim.

* W Rzymie zmarł Artur Wołyński, publicysta, dyrektor muzeum im. Kopernika. Posiadał krzyż św. Maurycego i Łazarza, udzielony mu przez króla włoskiego. Bronił żarliwie w dziennikach półwyspu spraw, dotyczących narodu polskiego, naszego piśmiennictwa i nauki.

* W Krakowie rozstał się z tym światem Eugeniusz Witwicki, mało znany malarz religijny.

* W Rzymie zmarł John Addington Symonds, znakomity angielski historyk sztuki, krytyk i poeta. Arcydziełem jego jest: »History of the Renaissance in Italy«, w siedmiu tomach.